

**ELIZABETH BEVARLY**

**Niewolnica miłości**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lucy Dolan obudziła się w zupełnych ciemnościach. Z trudem przytomniejąc, stwierdziła, że nie może oddychać. Czuła na piersiach jakiś wielki ciężar, który podczas snu pozbawił jej płuca powietrza. Spróbowała je wciągnąć. Zakrztusiła się. Piekło gardło, paliły wargi. W ustach miała gorzki smak. Krztusiła się i kasłała. Zakołowało się jej w głowie. Wypadła z łóżka.

Leżąc na podłodze, już w pełni przebudzona, z trudem wciągnęła trochę powietrza. Było gorące. Zamiast ją ożywić, spowodowało dziwne otepienie i następny zawrót głowy. Z dużym wysiłkiem Lucy przewróciła się na plecy. Zdumiał ją brak światła w korytarzu, które zawsze zostawiała na noc. Dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że to, czym oddycha, nie jest czystym powietrzem, lecz dymem. Gęstym i czarnym, który przesłonił światło lampy, piekł w oczy i zagrażał uduszeniem.

Dobry Boże! To pożar! Palił się dom.

Gdy do Lucy Dolan dotarł w pełni ten przerażający fakt, zmobilizowała umysł. Zamiast szukać drogi ucieczki, której nigdy wcześniej nawet nie zaplanowała, pomyślała o Macku.

Boże! Mack! Gdzie on jest?

Ostatni raz widziała go w salonie. Spał smacznie, wyciągnięty na kanapie, przy włączonym telewizorze. Lucy nie miała serca wyłączać aparatu. Wiedziała, że Mack woli spać przy mrugającym świetle padającym z ekranu. Narzutą zakryła mu nogi, gdyż w pokoju panował chłód, i poszła na górę do sypialni. Mack później do niej przyjdzie. Była tego pewna.



Musiała go odnaleźć! Bez Macka nie mogła opuścić domu. Gdyby miało mu się coś stać, wołałaby umrzeć.

Przed laty, w szkole, uczono ją, że kiedy pali się dom, należy uciekać, czółgając się po podłodze, gdzie prawdopodobnie jest najwięcej powietrza. Trzeba także sprawdzać dotykiem każde drzwi, czy nie są gorące, zanim się je otworzy. Najważniejsze jednak było opanowanie. W tej chwili zawiodło ją na chwilę, gdyż przypomniała sobie, że poszła spać nago.

Usiłowała odszukać ubranie. Zwykle zostawiała je na krześle obok łazienki, której drzwi stanowiły najlepszą drogę ucieczki przed morderczym dymem. Uznała, że tędy najszybciej dotrze do Macka.

Powoli, oddychając możliwie najpłycej, poczołgała się po dywanie w kierunku łazienki. Pod palcami wyczuła na krześle szorty i bawełnianą koszulkę. Kiedy ściągała je na podłogę, otarła dłonią o coś miękkiego. Uświadomiła sobie, że jest to mały, wyleniały ze starości pluszowy miś. Siedział zawsze na tym krześle.

Lucy zdawała sobie sprawę z tego, że z płonącego domu zdoła ocalić niewiele. Musiała ratować to, co było dla niej najcenniejsze. Macka i Stevie'ego.

Naciągnęła na siebie skąpe ubranie, wepchnęła misia pod pachę i wczołgała się do holu. Tutaj natychmiast straciła orientację. Nie miała pojęcia, gdzie się pali i skąd rozprzestrzenia się dym. Nie potrafiła wykryć źródła ognia.

Musiała jednak dostać się na parter. Mack nie przyszedł na górę, więc na pewno spał nadal w salonie na kanapie. Jeśli go tam znajdzie i obudzi, to frontowymi drzwiami wymkną się razem z płonącym domu. Cały problem polegał jednak na tym, że straciła rozeznanie. Nie miała pojęcia, gdzie są schody.

Po paru próbach i utracie cennych minut odnalazła zejście. Wężowym ruchem, stopień po stopniu, zsuwała się w dół. Gdy była coraz niżej, czuła się coraz bardziej skołowana. W pewnej chwili uderzyła podbród-



kiem o coś twardego. Straciła przytomność.

Ocknęła się, leżąc u stóp schodów. Nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. W jej głowie coś waliło jak młotem, usta miała spieczone, a w piersiach bolało tak, jakby zaraz miały eksplodować płuca. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności i było przeraźliwie gorąco. Lucy nie wiedziała, gdzie szukać ocalenia. Jak z oddali słyszała dziwne odgłosy. Suche trzaski. To ogień pochłaniał dom.

Czuła żar w środku ciała. Był wszędzie...

Gdzieś w pobliżu pękało szkło. Palce Lucy zacisnęły się kurczowo na pluszowym misiu, którego przez cały czas trzymała pod pachą. Nie chciała go stracić. Złożyła sobie przysięgę. Jeśli zdoła ocalić życie, odzyska bliźniaczego brata.

Wszystkie myśli Lucy skupiły się znów wokół Macka. Och, Boże! Musiała go odnaleźć. Za wszelką cenę.

Boone Cagney zeskoczył ze strażackiego wozu. Poczuł, że ogarnia go podniecenie. Uczucie, które towarzyszyło mu od wczesnego dzieciństwa, kiedy to jako mały chłopak marzył o tym, aby zostać strażakiem. Obrzucił wzrokiem palący się dom.

Widował większe pożary, uznał, sięgając po wyposażenie. Spodnie, kurtkę, kask i rękawice. Lata praktyki sprawiły, że ubierał się szybko i sprawnie. Założywszy aparat tlenowy na twarz, był gotowy do działania. Zupełnie zapomniał o tym, że jeszcze dziesięć minut temu spał smacznie we własnym łóżku.

Na sąsiednich posesjach pojawili się ludzie. Boone nie miał pojęcia, czy wśród nich są mieszkańcy płonącego domu. Pewnie nikogo nie było, gdyż nikt nie histeryzował. Wszyscy zachowywali się spokojnie. Minęła właśnie trzecia nad ranem. Bardziej prawdopodobne było to, że ludzie zamieszkujący dom ogarnięty pożarem znajdowali się w środku. Być



może nawet leżeli nieprzytomni w łóżkach, nie wiedząc, co się dzieje.

Boone rozejrzył się wokoło. Przed domem nie zauważył żadnych pozostawionych zabawek, wskazujących na obecność dzieci. Był to dobry znak.

Na podjeździe, poza zasięgiem ognia, stała zaparkowana pół-ciężarówka. Model samochodu nie nadającego się do przewożenia żadnych większych rzeczy. Nawet w ciemnościach Boone dostrzegł, że pojazd jest czerwony. Z pewnością należał do kobiety.

Wprawne oko strażaka wykryło, że mimo iż znaczna część budynku stała już w ogniu, jego źródło znajdowało się prawdopodobnie gdzieś na tyłach domu. Palił się tam stary, wolno stojący garaż. Pewnie zajął się ogniem od iskier z dużego domu. Boone przyjrzał mu się jeszcze raz. Z okien z wybitymi szybami wydobywał się gęsty, czarny dym.

Sprawnie rozstawił drabinę. Na razie płomienie ogarniały dolną część budynku, lecz mogły się wkrótce rozprzestrzenić na piętro. Zauważył okno otwarte mimo chłodu listopadowej nocy. Uznał, że prawdopodobnie jest to okno pokoju, w którym przebywa jakiś mieszkaniec domu. Wezwał partnera. Postanowili od tej strony dostać się do środka.

Czołgając się od okna w głąb pokoju, z zapaloną latarką w rękę, Boone dotarł do łóżka. Było puste. Z pomietą, odrzuconą pościelą, wyglądało tak, jakby ktoś opuścił je w pośpiechu.

Pobieżny przegląd dwóch sąsiednich pomieszczeń także wskazywał na to, że dom jest zamieszkały. W jednym z pokoi stało biurko z komputerem, a drugi był chyba sypialnią dla gości. Boone skinął na partnera. Obaj skierowali kroki ku wewnętrznej klatce schodowej, znajdującej się w końcu holu. Zeszli na parter.

U stóp schodów Boone znalazł kobietę. Początkowo sądził, że jest nieprzytomna, ale gdy ją obrócił, jęknęła. Była półżywa.

- Morgan! - Przez krótkofalówkę połączył się z partnerem, aby po-



informować pozostałych strażaków o tym, co dzieje się w środku. - Znalazłem kobietę. Tuż przy frontowych drzwiach, u stóp schodów.

- Nie znaleźliśmy nikogo - odezwał się jakiś inny strażak. - Do piwnicy nie daje się wejść. Tam jest źródło ognia. Sąsiedzi mówią, że w domu mieszka tylko samotna kobieta. Nie powinno tu być innych ludzi.

- To już jest coś - mruknął do siebie Boone.

Spojrzał na leżącą. Była drobna i szczupła. Bez wysiłku wziął ją na ręce.

Wyniósł przed dom i, półprzytomną, położył na ziemi pośrodku trawnika. Kiedy znów jęknęła i zaczęła kasłać, machając ręką przed twarzą, tak jakby chciała nagarnąć do ust świeżego powietrza, Boone podszedł do wozu strażackiego. Wziął przenośny aparat tlenowy, który z sobą wozili, i leżącej kobiecie założył maskę na twarz.

Sprawdzając, jak oddycha, i czekając na karetkę, zobaczył, że jego podopieczna ściska pod pachą ciemnobrązowego, wyleniałego, pluszowego misia. Boone musiał się dowiedzieć, co to oznacza. Przekonany, że chodzi o dziecko, zerwał maskę tlenową z twarzy kobiety.

- Pani nic się nie stało - powiedział szorstkim głosem, podnosząc ją do pozycji siedzącej - ale muszę wiedzieć, czy w środku domu jeszcze ktoś pozostał.

Krztusiła się i kasłała. Łzy ciekły jej po brudnej twarzy, pozostawiając ciemne smugi. Nagle otworzyła oczy. Były pełne lęku. Tak ogromne i niebieskie, że Boone na chwilę zapomniał, gdzie jest i co robi. Szybko wziął się w garść.

- Mack - wyszeptała, charcząc, kobieta. Spojrzała na płonący dom, a potem utkwiała wzrok w twarzy pochylonego nad nią mężczyzny. - Tam jest Mack - powiedziała, tym razem wyraźniej.

Tego mi jeszcze trzeba, pomyślał zgnębiony Boone. Z uratowaniem



tej kobiety poszło mu zbyt łatwo. Widocznie jednak nie mieszkała sama, a sąsiedzi o tym nie wiedzieli. Może był to przyjaciel?

- Czy Mack to mąż pani? - musiał krzyczeć, żeby usłyszała.

Trzaski i huki dobiegające z płonącego domu zagłuszały rozmowę. - A może przyjaciel?

Zaczęła znów dusić się i kasłać. Z niepewną miną popatrzyła na Boone'a.

- Mąż? - powtórzyła. - Nie, jestem rozwiedziona. I... i nie mam przyjaciela. Mack to mój... - Złapała Boone'a za skraj kurtki i zaczęła ją szarpać. - Mój Boże! On jest tam! - Jej oczy wypełniły się łzami. - Musi pan go stamtąd wyciągnąć! Mack jest wszystkim, co mi pozostało. - Zaczęła głośno szlochać. - Boże, on ma tylko trzy lata! Proszę mu pomóc!

Boone zeszywniał.

- Gdzie widziała go pani po raz ostatni? - zapytał.

- Spał w salonie na kanapie. Nie chciałam go budzić wieczorem i tam został. O Boże, Boże...

Kobieta nadal ścisnęła w rękę pluszową zabawkę. Wskazywało to jednoznacznie na obecność dziecka, mimo że Boone nie zauważył dzieciennego pokoju. Całe szczęście, że zostawiła go na kanapie, pomyślał z ulgą. W przeciwnym razie dzieciak by już nie żył.

- Gdzie jest salon? - zapytał. - W którym miejscu stoi kanapa?

Kobieta trochę oprzytomniała.

- Za frontowym wejściem trzeba skręcić w lewo. Kanapa jest po przeciwległej stronie pokoju.

Boone skinął głową.

- W porządku. Zaraz go stamtąd wyciągniemy. Thompson! - krzyknął w stronę grupki strażaków znajdujących się najbliżej frontowych drzwi. - W środku zostało dziecko! Musimy je wydostać.



Walka z ogniem była dla Boone'a czymś niemal naturalnym. Traktował ją jak zwykłą pracę. Ale gdy chodziło o dziecko, tracił zimną krew.

Tym razem wchodził do płonącego domu w jednym jedynym celu. Aby odnaleźć i ocalić trzyletniego chłopca.

Podczas pożaru dorośli na ogół zachowywali się jak psy, a dzieci jak koty. Pierwsi z nich usiłowali uciekać, drudzy zaś gdzieś się chowali. Boone miał nadzieję, że dzieciak nie znalazł sobie żadnej kryjówki. Nie miałby wówczas żadnych szans.

Kiedy pierwszy raz Boone wchodził do domu, paliła się tylna część budynku. Teraz ogień, podobnie jak dym, rozprzestrzenił się wszędzie. Nie tracąc czasu, wskazał Thompsonowi jedną stronę pokoju, a sam posuwał się powoli w przeciwną. Tak jak mówiła kobieta, kanapa stała przy przeciwległej ścianie.

Nie było na niej śpiącego dziecka.

To straszne, pomyślał Boone. Gdzie mogło się schować?

- Sprawdź hol - polecił partnerowi. - Ale nie chodź dalej.

Sam zaczął przeszukiwać salon. Kątem oka dostrzegł za plecami jakiś ruch. Odwrócił się szybko w stronę kanapy. Zamiast dziecka ujrzał ogromne, groźnie wyglądające zwierzę. Stało na tylnych łapach i, przerażone, przecinało powietrze wysuniętymi pazurami.

Na ten widok Boone aż jęknął. Kot. Wrócił do ziejącego ogniem piekła, żeby ratować dziecko, a tymczasem natknął się na wielkie kociśko. Nie znosił tych zwierząt. Naprawdę. Miał po temu uzasadnione powody. A stworzenie, które miał teraz przed sobą, wyglądało na niebezpieczne.

Nad głową usłyszał znajomy odgłos pękającej krokwi. Za chwilę zawali się sufit. Na opuszczenie pokoju zostało mu najwyżej pół minuty. Błyskawicznie sprawdził resztę pokoju i przekonany, że chłopiec musi znajdować się w innej, chyba bezpieczniejszej części domu, zawrócił Thompsona w stronę frontowych drzwi. Po dziecko będą musieli dostać się innym wejściem.





Odruchowo wyciągnął rękę w stronę kota, żeby go zabrać, ale oszalałe ze strachu zwierzę zaczęło się bronić. Ostryimi jak brzytwa pazurami nadal przecinało powietrze. Mimo że Boone miał na sobie grube rękawice, zawahał się na chwilę.

Nagle kocisko przeraźliwie miauknęło. Podskoczyło na tylnych nogach, tak jakby chciało zaatakować swego wybawiciela, i padło. Straciło przytomność. Boone odetchnął z ulgą. Jego zadanie okazało się łatwiejsze do wykonania, niż sądził.

- Co, skończyłeś rozrabiać? - mruknął, biorąc na ręce bezwładne zwierzę. - Dziarski z ciebie kocur.

Wepchnął go pod bluzę i wraz z Thompsonem opuścili dom na parę sekund przed zawaleniem się sufitu nad salonem. Huki i trzaski uprzytomniły Boone'owi, jak bliski był utknięcia w śmiertelnej pułapce. Już mu się to zdarzało. Ale czy jeszcze raz zechciałby przeżyć coś podobnego?

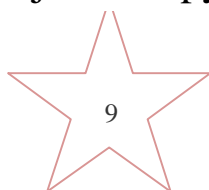
Przed domem zobaczył karetkę. Miała odwieźć kobietę do szpitala, lecz ona widocznie nie chciała ruszyć się z miejsca, nie znając losu dziecka.

Dostrzegła Boone'a opuszczającego płonący dom. Poderwała się z ziemi i podbiegła do niego. Twarz miała nadal osmaloną, a skąpe ubranie, przesiąknięte wodą ze strażackiego węża, przylegało do jej ciała jak druga skóra. Ale te oczy...

Boone zmusił się, żeby odwrócić wzrok. Nie znał dotychczas nikogo o oczach tak intensywnie niebieskich. Gdy się zbliżył, przeniknęły go na wskroś.

Ta kobieta nie potrafi ukryć uczuć, pomyślał. Dla posiadaczek takich oczu mężczyźni są w stanie zrobić bardzo wiele. Na szczęście, on do nich nie należał. Nigdy, nigdy więcej nie będą wodzić go na pokuszenie.

Pełen poczucia winy, że wraca bez dziecka, patrzył na szybko zbliżającą się kobietę. Nie spuszczała z niego wzroku. Usta miała rozchylone, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. I dobrze. Byłoby mu trudno wysłuchiwać żalów nieszczęsnej matki i pytań, czemu nie ocalił jej



dziecka. Kiedy znalazła się tuż przed nim, Boone wyciągnął spod kurtki bezwładnego kota, żeby przed powrotem do płonącego domu oddać go któremuś z pozostałych strażaków.

Na widok nieruchomego zwierzęcia kobieta padła na kolana. W dłoniach skryła twarz i zanosła się rozdzierającym płaczem.

- Mack! -jęczała, nie podnosząc wzroku, tak jakby nie była w stanie znieść widoku nieprzytomnego zwierzęcia. - Och, Mack! Nie zdążył pan go uratować.

Zdezorientowany Boone popatrzył uważnie na kobietę. Po chwili dotarł do niego sens jej słów. Wyciągnął w jej stronę kota.

- Czy to jest Mack? - zapytał z niedowierzaniem.

Skinęła głową. Jej oczy znów wypełniły się łzami. Spojrzała

na bezwładne stworzenie leżące w ramionach Boone'a i utkwiała w nim wzrok. A potem znów zaczęła głośno łkać.

Boone stał w miejscu, jakby zahipnotyzowany intensywnym spojrzeniem płaczącej. Z trudem się otrząsnął.

- Mack to pani kot? - zapytał. - Wracalem do tego piekla po to, żeby ratować kota?

Ponownie skinęła głową. Pogłaskała czule bezwładnie zwisającą łapkę.

- Boże! - jęknęła. - On nie żyje. Dlaczego? To wszystko moja wina. - Zasłoniła rękoma twarz i zanosła się płaczem.

Jest tak przerażona utratą kota jak matka marnym losem własnego dziecka, pomyślał Boone. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Boone odruchowo wyciągnął rękę i pogłaskał kobietę po głowie. Gdy podniosła wzrok, delikatnie odgarnął jej z czoła wilgotne kosmyki włosów.

- Proszę nie płakać - powiedział z czułością, ocierając łzę spływającą po osmalonym policzku kobiety. W tej chwili poczuł, że na jego rękę poruszył się kot. - On żyje. Zaczyna przytomnieć.

Potrzebuje tylko tlenu.



Kobieta znów spojrzała na Boone'a swymi niewiarygodnie wyrazistymi, niebieskimi oczyma.

- Żyje? - wykrzyknęła. - Uratował go pan? Naprawdę żyje?

Boone kiwnął głową. Odwrócił się, żeby pójść po tlen.

Kobieta podążyła za nim.

- Był nieprzytomny, lecz zaczął się ruszać! - krzyknął. - Potrzebny mu tlen.

Delikatnie położył zwierzaka na trawie tuż obok pluszowego niedźwiadka pozostawionego przez kobietę. Wziął do ręki tę samą maskę, którą miała na twarzy, i nałożył na koci pyszczek. Potem zdjął rękawice i powoli zaczął przeciągać dłonią po grubym, mokrym futerku. Starał się wyczuć bicie serca zwierzaka.

Mack nadal leżał bez ruchu, półprzytomny. Może jednak koty nie są tak obrzydliwe, jak sądziłem, pomyślał Boone. Zwierzak, którego miał przed sobą, walczył dzielnie o życie. Była to cecha ze wszech miar godna szacunku. Bądź co bądź chęć przeżycia stanowiła bodziec jego własnego postępowania.

- Ma silny puls - oświadczył. - Zaraz powinien dojść do siebie.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że kobieta stała tuż za nim. Z kolanami opartymi o jego plecy i rękoma na jego ramionach. Widocznie w stosunku do nieznanego człowieka nie odczuwała żadnego lęku. W przeciwieństwie do Boone'a. Miał wielką ochotę odsunąć ją od siebie. Obawiał się obcych. Nie tylko stworzeń o ogromnych, przenikliwych, niebieskich oczach.

Teraz, gdy minęło bezpośrednie zagrożenie, mógł lepiej przyjrzeć się kobiecie. Trzymając maskę tlenową nad pyszczkiem kota, odwrócił się, aby na nią popatrzeć.

Wyglądała jak ostatnie nieszczęście. Pokryta sadzą, przemoczona i drżąca z zimna. Mimo to jednak było w niej coś pociągającego. Boone nie umiał ustalić, co to jest. W każdym razie, podobnie jak jej kot, wykazywała hart ducha i potrafiła walczyć o przeżycie. Był przekonany, że



gdyby nie wrócił do płonącego domu, sama by tam pobiegła. Tak jak stała. Bosa, skapo odziana, bez ochronnego kombinezonu. Ryzykując własne życie, ratowałyby kota.

Boone nie był wcale pewny, czy na jej miejscu postąpiłby podobnie. Był samotnikiem i nie potrafił sobie wyobrazić, że na innym człowieku, a co dopiero zwierzęciu, zależy mu bardziej niż na własnym życiu. No, polegało ono w części na ratowaniu innych ludzi. Ale był to zawód, który wykonywał.

Gdy się nad tym jeszcze zastanawiał, kot poruszył się pod jego ręką. I nagle, znenacka, wysunął pazury. Przeciągnął nimi po obnażonej dłoni Boone'a, pozostawiając na niej wzdłuż palca głęboką, krwawą pręgę.

- Och, do diabła! - Strażak syknął z bólu.

Wreszcie sobie przypomniał, dlaczego tak bardzo nie znosił kotów. Zanim ustalił rozmiary obrażenia, wetknął krwawiący palec do ust i zaczął go ssać. Kiedy oglądał zranioną rękę, kot dał nura w trawę.

- Mack! - krzyknęła kobieta. Tak gwałtownie nachyliła się nad Boone'em, że o mało nie przewróciła go na ziemię. Chwyciła kota w ramiona i przyłożyła twarz do zjeżonej sierści, a potem zaczęła całować kark'zwierzaka. Z zaniepokojoną miną spojrzała na Boone'a.

- Można mu już odstawić tlen?

Boonie kiwnął głową, nadal ssąc palec. Cholerne zwierzę, pomyślał.

Kobieta ostrożnie zsunęła maskę. Znów przygarnęła kota do siebie. Pocierała nosem o jego nos.

Na ten widok Boone miał ochotę parsknąć śmiechem.

- Jestem taka szczęśliwa, że nic ci się nie stało - mówiła do małego, czarnego potwora, tuląc go w objęciach jak nowo narodzone dziecko. Ponownie spojrzała na strażaka. - Czy z Mackiem wszystko jest w porządku?



Boone skinął głową. Zobaczył, że oczy kobiety znów są wypełnione łzami.

- Jest pan tego pewny? - spytała z niepokojem w głosie. - Mam na myśli uszkodzenie mózgu lub... lub coś w tym rodzaju.

- Nic mu nie będzie - zapewnił Boone. Zastanawiał się, czy to samo będzie odnosić się do niego. Miał nadzieję, że troskliwa opiekunka zaaplikowała ukochanemu kotu niezbędne szczepienia.

Opadła na kolana tuż obok i objęła strażaka.

- Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

Zdjął z ramion jej ręce. Nie znosił tego rodzaju gestów. Żadnego obściskiwania. Szybko podniósł się z ziemi i odsunął na bezpieczną odległość, aby uniknąć ewentualnych dalszych objawów czułości ze strony nieznamyjonej kobiety.

Nieświadoma reakcji Boone'a, nadal tuliła kota w objęciach. A dzikie zwierzę zdawało się tolerować pieszczoty. Z największym zdumieniem Boone przyglądał się tej dziwnej scenie. Mimo panującego wokół zimna czuł pot spływający po czole i plecach. Rozgrzały go płomienie i gruby kombinezon. Zdjął kask. Otarł twarz.' Kiedy przeciągał palcami po zwilgotniałych, ciemnoblonde włosach, usłyszał głos kobiety:

- Mack, wszystko będzie dobrze - uspokajała kota. - Sam się przekonasz.

Boone zamierzał właśnie ponownie nałożyć kask, gdy reszta stropu płonącego budynku zawaliła się z hukiem. Zobaczył pełen udręki, zmęczony wzrok kobiety, którym ogarnęła płomienie. Nie wiedział, jaka będzie jej reakcja.

Suchymi oczyma patrzyła beznamiętnie na walący się dom. Była tak spokojna, jakby w ogóle jej to nie obeszło. Boone zdążył jeszcze pomyśleć, że zachowuje się dziwnie, gdy nagle ugięły się pod nią nogi. Z impetem siadła na trawie, nie wypuszczając kota z objęć. Nie odwracając wzroku od palącego się budynku, szukała po omacku pluszowego misia



pozostawionego w trawie. Znalazła go i, podobnie jak kota, przycisnęła do piersi.

Boone miał nadzieję, że dom był ubezpieczony od ognia i że kobieta dostanie spore odszkodowanie. Bo jedynymi rzeczami, które jej pozostały, była półciężarówka stojąca na podjeździe w bezpiecznym miejscu i ciuchy, jakie miała na sobie.

A także wielki kot.

I mały, wyleniały, pluszowy miś.

- Przykro mi - odezwał się Boone - ale wygląda na to, że straciła pani wszystko.

Energicznie zaprzeczyła ruchem głowy. Przytuliła mocniej do piersi kota i misia.

- Nie - odparła ze smutnym uśmiechem. - Wszystko, na czym mi zależy, mam tutaj, przy sobie. I tylko dzięki panu.

- Robiłem, co do mnie należało - powiedział Boone, wzruszając lekko ramionami.

- Nie ma pan pojęcia, jak wiele uczynił pan dla mnie.

Słowa kobiety zabrzmiały dziwnie, a nawet trochę zagadkowo. Pewnie były wynikiem szoku na widok utraconego domu, uznał Boone. Nałożył kask, gotów wrócić do akcji. Tyle że bitwa była przegrana. Dom przestał istnieć. On i jego koledzy musieli teraz tylko dopilnować, żeby ogień nie rozprzestrzenił się poza budynek.

- Jak pan się nazywa? - zapytała nagle kobieta.

- Boone Cagney - odparł odruchowo.

- Jestem pańską dłużniczką. I zawsze spłacam długi.

- Nie jest mi pani nic winna - zaprotestował. - Jak już mówiłem, zrobiłem tylko to, co do mnie należało.

- Mam na imię Lucy - powiedziała cicho.

Zerknął na kobietę. Pod wpływem spojrzenia przepastnych, niebieskich oczu zatracił się zupełnie.

- Słucham?

Nadal trzymała kota i misia. Mimo że była drobna i mała, sprawiała



wrażenie osoby bardzo dzielnej, zapewniającej innym poczucie bezpieczeństwa. To nieprawdopodobne, pomyślał Boone zdumiony tym odkryciem. Zapewnianie ludziom bezpieczeństwa to była jego misja. Zajęcie, bo w życiu prywatnym wcale sobie tego nie życzył.

- Mam na imię Lucy - powtórzyła kobieta, suchymi oczyma spoglądając na Boone'a. - Jestem Lucy Dolan.

- A więc Lucy Dolan - powiedział, z trudem odrywając wzrok od oczu kobiety - wsiadaj do ambulansu i jedź do szpitala, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Możesz też na wszelki wypadek zawieźć kota do weterynarza. A mnie nie jesteś winna absolutnie nic.

- Nieprawda - zaprotestowała gwałtownie. - Jeszcze nie wiem, w jaki sposób ci się zrewanżuję, ale zrobię to na pewno. Tak czy inaczej ureguluję dług. - Z powagą pokiwała głową. - Obiecuję, Boone. Masz to u mnie jak w banku.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Czubkiem pożyczonego sandała Lucy trąciła pokryty sadzą, stopiony w ogniu mały przedmiot. Przez chwilę zastanawiała się, co to mogło być. Ulubiona łyżeczka mamy, sprowadzona aż z Anglii? Pudełko, w którym ojciec trzymał wędkarskie przynęty? A może skarbonka o kształcie świnki pełna drobnych monet, prezent od babki na jej dwunaste urodziny? Nie sposób było wyjaśnić.

Pochyliła głowę i nadal przyglądała się zwęglonemu przedmiotowi. Zacisnęła powieki, żeby powstrzymać łzy. Znow przed oczyma stanął jej koszmar ostatniej nocy. Obraz był jednak zamazany i mglisty. Lucy podejrzewała, że wszystkich wydarzeń nigdy sobie nie przypomni. Jedno było pewne. Miała dużo szczęścia, że wyszła cało z opresji. Mack też był cały i zdrowy. Dzięki szybkiej pomocy, jakiej im udzielono, aby ratować życie.

Uznając, że nic się jej nie stało, Lucy odmówiła pojechania karetką do szpitala. Na popołudnie umówiła się jednak z weterynarzem, żeby zbadał Macka.

Nic mi nie dolega, powtarzała w duchu. Wszystko jest w idealnym porządku. Taka drobnostka, jak utrata wszelkich dóbr doczesnych, nie zdoła zatruć jej życia. Zadrżała. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, jak tragicznie zakończyłaby się wczorajsza noc, gdyby nie bohaterska akcja wysokiego, jasnowłosego mężczyzny w kombinezonie i strażackim kasku.

Jak on się nazywał? usiłowała sobie przypomnieć. Aha, Boone Cagney. Strażak, który wynurzył się z płomieni i dymu, ocaliwszy życie jej





i Mackowi. I który wskoczył potem do swojego czerwonego strażackiego wozu i zniknął w czeluściach nocy. Bez jednego słowa, bez jakichkolwiek oznak zadowolenia i dumy z siebie za wspaniały czyn, jakiego właśnie dokonał.

Lucy westchnęła głęboko. Popatrzyła na pogorzeliśko. Dom spalił się cały. Aż po fundamenty. Wszystko poszło z ogniem. Szkolne dyplomy wiszące na ścianach sypialni. Modele samolotów, które z takim przejęciem budowała jako dziecko. Ulubiona para niebieskich dżinsów, których przyzwoite powycieranie zajęło jej aż cztery lata.

Zniknęły wszystkie rzeczy wiążące się z przeszłością. Została bez niczego.

Nie do końca była to prawda, uprzytomniła sobie. Tak jak powiedziała Boone'owi Cagneyowi, nadal posiadała coś, co było dla niej najważniejsze w świecie. Macka i Stevie'ego. Aha, miała jeszcze półciążarówkę, kupioną zaledwie parę miesięcy temu, której nigdy nie udało się jej wprowadzić do małego, zagraconego garażu. Dom i jego wyposażenie, meblowanie, ubrania i wszystkie inne należące do niej rzeczy przestały istnieć. Straciła je na zawsze.

Lucy przygarnęła do twarzy pluszowego misia. Potarła czule brodą o gładkie miejsce na jego łebku. Od tej pieśczoćoty, powtarzanej od trzydziestu czterech lat, miś zdołał całkowicie wyłysieć. Zastanawiała się, jak uda się jej nadal opiekować Mackiem, nie mówiąc już o zadbaniu o samą siebie, skoro nie pozostało jej nic.

- Lucy?

Odwróciła się na dźwięk swego imienia. Zobaczyła panią Palatka, najbliższą sąsiadkę, ze smutkiem rozkładającą zreumatyzowane ręce. To ona jakiś czas temu zmusiła Lucy, żeby na bosc stopy włożyła pożyczone sandały. Stara kobieta nie była jednak w stanie bardziej pomóc swej młodej sąsiadce. Lucy miała na sobie szorty i bawełnianą koszulkę, które udało się jej nałożyć po wybuchu pożaru. Ten skąpy ubiór nadal



był mokry i nie stanowił żadnej ochrony przed przenikliwym chłodem jesiennego poranka. Lucy nie zważała na gęszą skórkę pokrywającą całe ciało.

- Chodź do mnie, kochana. Zjesz śniadanie. Coś ciepłego dobrze ci zrobi - powiedziała pani Palatka.

Drobna, siwowłosa kobieta o gołębim sercu objęła Lucy zdumiewająco silnym ramieniem. Sama jeszcze nie zdążyła się pozbyć ani szlafroka, którego czerwone, kwiciaste poły wywiewał wiatr spod płaszcza narzuconego na ramiona, ani równie śmiesznych, ogromnych, czerwonych puchatych papuci, zwilgotniałych od porannej rosy.

- Chodź - powtórzyła. - Tutaj zamarzniesz na śmierć. Musisz zaraz wziąć gorący prysznic i zjeść coś ciepłego. Pożyczę ci trochę swoich ubrań.

Przypominając sobie, że garderoba milej sąsiadki składała się niemal wyłącznie ze spodni ze sztucznego tworzywa i bluzek w krzykliwych kolorach, Lucy uśmiechnęła się lekko.

- O ubrania proszę się nie martwić - powiedziała do uczynnej sąsiadki. - Na szczęście, ciuchy robocze miałam w samochodzie. Ocalały. Akurat się przydadzą.

Z szoferki w półciężarówce wyjęła kilka rzeczy i poganiana przez starszą panią weszła do sąsiedniego domu. Wysłuchiwała słów pocieszenia, że, dzięki Bogu, jej samej i nikomu innemu nie stało się nic złego. Że, na szczęście, dom był ubezpieczony i na pewno niedługo wszystko jakoś się ułoży.

Lucy prawie nie słuchała gościnniej sąsiadki, która karmiła ją bułeczkami, kielbaskami i kawą. Potem wzięła prysznic, melancholijnym wzrokiem patrząc, jak brudna od sadzy woda spływa w dół i ginie w otworze ściekowym.

Wytarła ciało. Przeciągnęła przez głowę spłowiałą, zieloną bluzę od dresu, włożyła workowate, zniszczone spodnie i robocze buty. Od razu poczuła się lepiej. Dopiero wówczas, gdy pani Palatka usadowiła ją w



salonie na kanapie, tak by mogła przez chwilę spokojnie odpocząć, dotarł do niej pełny sens tego, co się stało.

Nie miała dokąd iść. Nie było nikogo, kto udzieliłby jej schronienia i pomocy.

Nie licząc Macka, Lucy nie miała nikogo na świecie. Była jedynym dzieckiem ludzi, którzy adoptowali ją jeszcze jako niemowlę. Oboje już nie żyli. Zmarli w odstępnie kilkuletnim, zanim Lucy zdołała ukończyć trzydzieści jeden lat. Gdzieś na przeciwległym krańcu kraju mieszkali jacyś dalecy krewni, których widziała ze dwa razy w życiu. I to było wszystko. Nie miała w zasadzie żadnej rodziny. A dom w Arlington w stanie Wirginia, w którym wychowywała się i wyrosła, jedyny, w jakimkolwiek mieszkała, właśnie przeobraził się w kupę gruzu i popiołu.

Pozostał tylko Mack. Od ponad trzech lat stanowił jej jedyną rodzinę. Od chwili gdy po szalejącej burzy ujrzała na progu domu trzęsące się, ociekające wodą małe, straszliwie zabiedzone stworzenie.

Wydarzyło się to nazajutrz po pogrzebie matki.

Pojawienie się na progu domu wychudzonego kociaka Lucy uznała za znak niebios. Od samego początku była przekonana, że to opatrność ofiarowała jej Macka po to, by miała kogo kochać i o kogo dbać. Po śmierci matki została zupełnie sama.

Dlatego właśnie miała ogromny dług wdzięczności w stosunku do strażaka, który ocalił kota. Wyniósł z płonącego domu jedyną żywą istotę, jakiej potrzebowała i jaką kochała. Także Mack potrzebował jej i odwzajemniał się miłością. Bez niego życie Lucy byłoby nijakie, pozbawione radości i bardzo samotne. Boone Cagney uratował jedynego członka rodziny. Ocalił także jej własne życie.

Westchnęła głęboko. Zobaczyła, że na kanapę wskakuje Mack. Stuknął łebkiem w jej łokieć, wsunął się na kolana i, zadowolony, natychmiast zwinął się w kłębek. Z uśmiechem Lucy podrapała kota za



uchem, za co odwzajemnił się cichym mruczeniem. Podtrzymało ją to trochę na duchu.

Tak długo, jak miała Macka, wszystko powinno dobrze się układać. Pozostawało tylko jedno. Przestać uważać się nad samą sobą, nie myśleć o nieszczęściu, które ją spotkało, i skupić się na przyszłości.

Łatwo było to powiedzieć. Ale jak wykonać?

Lucy stłumiła westchnienie. Jej myśli pochłonęła ponownie sprawa długu wdzięczności zaciągniętego u bohaterskiego strażaka. Zawsze wywiązywała się ze wszelkich zobowiązań. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna. W posiadaniu Lucy nie pozostało nic.

Oszczędności miała niewielkie. A za to, co uzyska jako odszkodowanie za spalony dom, będzie musiała zdobyć jakieś mieszkanie i je zagospodarować.

W tej chwili należały do niej wyleniały miś, dziecięca zabawka mająca tylko wartość sentymentalną, i to wyłącznie dla niej samej, oraz Mack, z którym nie rozstałaby się nigdy, choćby miała naprawdę gigantyczne długi. Potężnie zbudowanemu, jasnowłosemu strażakowi, który jej i Maćkowi uratował życie, nie miała do zaoferowania absolutnie nic. Chyba że, pomyślała z goryczą, odda mu siebie. Ale niby dlaczego miałby ją zechcieć? Do tej pory nigdy nikomu na niej nie zależało.

Dłoń, odruchowo głaszcząc sierść śpiącego kota, powoli zwolniła ruchy. Mózg Lucy zaczęła drażnić nowa myśl. To chyba dobry pomysł, uznała po chwili. Istniał sposób odwzięczenia się Boone'owi Cagneyowi za wszystko, co dla niej uczynił. Było coś, co mogła mu ofiarować i co przynajmniej w niewielkim stopniu zmniejszyłoby dług.

Mogła dać mu siebie samą. No, nie dosłownie, ale coś w tym rodzaju.

Teraz pozostawało tylko wprowadzenie pomysłu w czyn. Wymyślenie sposobu, żeby strażak zgodził się przyjąć od niej tego rodzaju spłatę za-



ciągniętego długu. Lucy podejrzewała jednak, że Boone Cagney nie jest człowiekiem chętnie przyjmującym jakiegokolwiek oznaki wdzięczności, zasłużonej bądź nie.

- Mack, co o tym sądzisz? - spytała kota, który, pomrukując, nadal leżał na jej kolanach.

Otworzył powoli jedno oko i szybko je zamknął. Lucy podrapała go za uchem. Zamiauczał.

- Nie jest to człowiek, który zgodzi się łatwo na rewanż - mruknęła od nosem. - Będę musiała zastosować wyjątkowe środki perswazji.

Mack zamiauczał głośnie. Chwalił czy ganił nowy pomysł swej pani? Trudno zgadnąć.

- Wszystko w porządku - uspokajającym tonem powiedziała do drzemiącego kota. - Niczym się nie przejmuj.

Boone zapadł wreszcie w płytki sen. Obudziło go głośnie pukanie do frontowych drzwi. Uniósł głowę i popatrzył na ledwie widoczne po ciemku wskazówki zegara. Zaklął pod nosem, kiedy uprzytomnił sobie, że był w łóżku zaledwie godzinę. Opadł ciężko na materac, licząc, że intruz da sobie spokój i odejdzie.

Niestety, pukanie się powtórzyło. Jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Boone westchnął i zrezygnowany wstał z łóżka. Przeciągnął się i przygładził włosy. Nie nałożył koszuli, sądząc, że uda mu się splawić nieproszonego gościa i wrócić od razu do łóżka. Miał na sobie tylko wyblakłe niebieskie spodnie od dresu.

O rety, co to była za piekielna noc, pomyślał, rozcierając kark. Widok domu, ludzkiej siedziby stojącej w płomieniach, robił na nim niezmiennie przykre wrażenie. Boone wiedział, że do tego w swojej pracy nigdy się nie przyzwyczai. Rzeczą jeszcze gorszą mógłby być tylko obraz zagłady domu i mienia należącego do osoby, na której człowiekowi osobiście zależało.

Ta myśl przerwała ciąg rozważań. Zapaliła w mózgu czerwone światło. Uważaj, brachu. Skąd nagle przychodzi ci do głowy osoba, na której



może ci zależeć? Nawet nie pamiętał nazwiska kobiety, której dom spłonął doszczętnie ostatniej nocy. Dlaczego więc, do diabła, miałby się nią interesować?

Pukanie rozległo się znowu. Boone odgonił natrętne myśli. Powoli przeszedł przez hol. Spodziewając się ujrzeć jakiegoś przypadkowego dostawcę, z niechęcią otworzył frontowe drzwi.

Widok stojącej przed nim kobiety wprowadził go w osłupienie. Przed paroma sekundami właśnie o niej myślał, a teraz nagle zmaterializowała się na progu jego domu. Zdarzało się, że do remizy Boone'a przychodziły kobiety, ale ani rusz nie mógł przypomnieć sobie ani jednej sytuacji, gdy przedstawicielka płci pięknej zjawiła się w domu strażaka.

- Dzień dobry. - Stojąca w drzwiach kobieta przywitała go z promiennym uśmiechem. - Czy pan mnie pamięta?

Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Jak urzeczony wpatrywał się w przepastne, niebieskie oczy, które nawiedzały go w myślach dopóty, dopóki nie zapadł w sen. Nieprawda, poprawił się szybko. Przypomniał sobie, że także we śnie nie potrafił pozbyć się ich widoku.

- Jasne, że pamiętam - oświadczył. - Dobrze się pani czuje?  
W odpowiedzi skinęła głową. Boone'owi udało się wreszcie

oderwać wzrok od oczu kobiety. Mimo woli zaczął się jej przyglądać. Zauważył, że jest czysta. Wyglądała na mniej przygnębioną. A także na starszą. Uznał ją za własną rówieśnicę. Miała pewnie ze trzydzieści kilka lat. Sprawiała wrażenie mniej drobnej i kruchej niż ostatniej nocy. Wtedy wyglądała jak obraz nieszczęścia. Była bliska skrajnej rozpacz. Ale teraz...

Teraz uprzytomnił sobie, że mimo workowatego, chyba nawet męskiego, od kogoś pożyczonego ubioru, wiszącego na niej jak na strachu na wróble, wydawała się całkiem... interesująca.

Miała krótko ostrzyżone, bardzo ciemne włosy. I niezwykle miłe, drobne rysy twarzy. A także bardzo długie rzęsy. Wydawały się jeszcze ciemniejsze niż włosy i silnie kontrastowały z błękitem oczu. Twarz



zdobiły ładnie zarysowane, mocno zaróżowione policzki. Boone uznał, że ich żywy kolor nie był sprawą żadnych kosmetyków. Wydatne wargi kobiety miały czerwoną, naturalną barwę. Świadczyły o ożywieniu ich właścicielki.

Przesunął wzrok nieco niżej. Zobaczył szeroką, świeżą bliznę. Przeciwna cała lewy policzek, dochodząc aż do warg, które z tej strony były lekko spuchnięte. Podświadomie uniósł rękę i delikatnie przeciągnął palcem wzdłuż szramy. Poczuł ciepło bijące od skóry. Była miękka i bardzo delikatna. Uprzytomnił sobie nagle, że pragnie dotykać ciała tej kobiety także w innych miejscach. Przekonać się, czy wszędzie jest podobnie delikatna i miękka.

Rozchyliła usta. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe niż poprzednio. Dopiero wtedy, dostrzegłszy reakcję kobiety na dotyk swojej dłoni, Boone pojął, jak bardzo intymny wykonał gest. Gwałtownie cofnął rękę i na wszelki wypadek, aby nie kusilo, schował ją za plecami, a potem usiłował znieść mężnie spojrzenie niebieskich oczu, udając całkowitą obojętność.

Zamierzał coś powiedzieć, lecz natychmiast wyleciało mu z głowy, co to miało być, kiedy nagle kobieta ujęła go za rękę i zaczęła ją oglądać. Zupełnie zapomniał o głębokiej, czerwonej szramie, która wyraźną linią biegła wzdłuż całego palca i kończyła się dopiero w pobliżu nadgarstka.

- Och, mój Boże, czy to Mack tak strasznie pana podrapał?
- spytała, delikatnie dotykając miejsc wokół szramy.

Boone wyrwał rękę. Od dotyku dłoni tej kobiety paliła go skóra.

- Tak - mruknął.

Wzięła go znów za rękę, a kiedy wyswobodził ją ponownie, wyglądała na zmieszaną.

- Bardzo mi przykro. Przepraszam za Macka. On nigdy nikogo nie podrapał. Naprawdę. Wczorajszej nocy był przerażony. Nie wiedział, co robi.



- Pewnie tak. - W głosie Boone'a przebijało zwątpienie. -Czy był szczepiony? - zapytał.

- Oczywiście - zapewniła go kobieta. - Proszę mi wierzyć, to najładniejsze stworzenie pod słońcem. Przy bliższym poznaniu sam się pan o tym przekona.

Boone bardzo się starał, żeby jego odpowiedź wypadła w miarę grzecznie.

- Chyba daruję sobie bliższe kontakty.

- Ale ja mówię prawdę. Jeśli pan chce...

- Pani jest skaleczona - przerwał jej. Uniósł podbródek kobiety, żeby lepiej przyjrzeć się świeżej szramie na policzku. -Czy oglądał to jakiś lekarz?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Dotknęła spuchniętej wargi znacznie mniej delikatnie, niż przed chwilą uczynił to Boone. Poruszyła szczęką.

- Nie, bo nic się nie stało. Musiałam o coś zahaczyć, spadając ze schodów - dodała. - Właściwie pamiętam niewiele. Najpierw obudziłam się we własnym łóżku, a zaraz potem stałam na trawniku, trzymając Macka na rękach i patrząc, jak płonie mój dom.

- Zdarza się to ludziom, którzy przeżyli podobną tragedię - zauważył Boone.

Szybko skinęła głową. Boone był przekonany, że zrobiła to nie dlatego, iż się z nim zgadzała. Ta kobieta była zupełnie dezorientowana i niepewna, co z nią się stanie.

- Już zgłosił się przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej - powiedziała szybko. - Zadziałali sprawnie. Niestety, nie dali mi jeszcze czeku na całą sumę odszkodowania, tylko zaliczkę. Lepsze niż nic, prawda? Aha, i znaleźli przyczynę pożaru – dodała z pozornym ożywieniem. - Spowodowała go moja suszarka do ubrań. Może pan wyobrazić sobie coś takiego? Ze wszystkich możliwych przyczyn... - Głos kobiety nagle się załamał. W jej oczach ukazały się łzy. Pospiesznie otarła je wierzchem dłoni.

Boone usłyszał nagle własny głos:





- Czy czegoś pani potrzebuje? Ma pani u kogo się zatrzymać? Jest w pobliżu jakaś rodzina?

Kobieta pokręciła głową.

- Moi rodzice zmarli kilka lat temu. Byłam ich jedynym dzieckiem. - Zawahała się na chwilę i dodała: - Właściwie to mam... - urwała jednak i szybko zmieniła temat. - Zaliczka wystarczy na to, czego teraz mi trzeba. To znaczy na ubranie, jedzenie i tym podobne wydatki. Wynajęłam pokój w motelu.

Nie wiem jednak, jak długo tam zostanę.

Boone skinął głową. Rozwagał usłyszane informacje. Poczul się nagle dziwnie zawiedziony, że nie znalazła się żadna drobna przysługa, którą mógłby zrobić tej kobiecie. Z jego strony była to dziwna reakcja. Nigdy nie chciał niczego robić dla bliźnich. Od bardzo dawna. To znaczy od chwili, w której naręczona, a raczej była naręczona, za uwielbienie, dobroć i serce odpłaciła mu solidnym kopniakiem.

- Pozwoli mi pan wejść do środka? - spytała kobieta, łagodząc u Boone'a uczucie goryczy, jakiego doznawał na każde wspomnienie Genevieve. Podniosła rękę, ukazując trzymaną w niej torbę. - Szukałam pana w remizie - wyjaśniła.

- Inni strażacy powiedzieli mi, że skończył pan dyżur o ósmej i poszedł do domu. Zapewnili mnie także, iż nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli do pana wstąpię z pączkami i kawą. Co właśnie robiłam. - Pokazała dwa plastikowe kubeczki.

Uśmiechnęła się szeroko, ale od razu można było spostrzec, że wcale nie jest pewna, czy Boone przyjmie z zadowoleniem jej niespodziewaną wizytę.

Milczał.

- Powiedzieli, gdzie pan mieszka - dodała z gasnącym uśmiechem na twarzy. - Nie musiałam nawet prosić o adres. Pańscy koledzy sami napisali mi go na kartce i wyjaśnili, jak się tu dostać. Jeden z nich wyrysował plan drogi.



Boone patrzył przez chwilę na gościa, usiłując równocześnie wyobrazić sobie scenę w remizie. Dwunastu młodych, dziarskich chłopaków miało wielką frajdę, oglądając atrakcyjną kobietę o niebieskich oczach. Tak, to musiało być interesujące.

- Powiedzieli, że na śniadanie lubię pączki i kawę? – zapytał wreszcie. Ta część opowiadania kobiety była najbardziej zadziwiająca.

Z niepokojem zagryzła wargi.

- Właściwie mówili, że... że najchętniej dziś rano chciałby pan mieć mnie, bo... bo ma pan zawsze ochotę na coś małego... - Odchrząknęła i zarumieniła się. - Coś gorącego i słodkiego... z samego rana. Oczywiście, musieli mieć na myśli...

- Jasne - przerwał jej Boone. Nie pozwolił jej dokończyć zdania. Jutro policzy się z chłopakami w remizie. Za ten głupi dowcip zdrowo od niego oberwą.

Niechętnie odsunął się na bok, przepuszczając gościa. Kobieta weszła do środka. Ładnie pachniała świeżym mydłem. Wyglądała na osobę dobrze wychowaną, uczciwą, taką, która jada warzywa i co niedziela chodzi do kościoła. A więc wcale nie była w jego typie.

- Proszę pani... - zaczął, zamykając drzwi.

- Lucy - poprawiła go, idąc przed siebie i nie odwracając głowy. - Lucy Dolan. Gdzie jest kuchnia?

- Lucy - powtórzył posłusznie. - Idź naprzód. Skręć w prawo w końcu holu.

Postał w miejscu przez chwilę, a potem, ociągając się, poszedł za nią do kuchni, gdzie, co od razu spostrzegł, już czuła się jak u siebie w domu. Nie spytawszy o pozwolenie, przeszukiwała szafki dopóty, dopóki w jednej z nich, najbliższej zlewu, nie znalazła talerzy. Wzięła dwa i postawiła je na małym, dębowym stole. Wyjęła pączki. Przyniosła dwa. Jeden dla niego, a drugi pewnie dla siebie. Usiadła na krześle.

Zbyt zmęczony i zaskoczony, żeby protestować, Boone zajął miejsce



po przeciwnej stronie stołu, zdjął pokrywkę z kubeczka zawierającego gorącą, aromatyczną kawę i podniósł go do ust. Po paru łykach poczuł się trochę lepiej. Ugryzł pączek, przełknął kęs i zapytał:

- Czy to ma być spłata długu wdzięczności, o którym mówiłaś wczoraj w nocy?

Skinęła głową. Akurat jadła pączek, a była z pewnością zbyt dobrze wychowana, żeby mówić z pełną buzią.

- Nic mi nie jesteś winna - przypomniał. - Ale to miło, że przyniosłaś śniadanie. Dziękuję.

Z górnej wargi otarła cukier puder i z kącika warg zlizwała odrobinę pozostałej tam marmolady. Boone zauważył, że znów zrobiła się dziwnie nerwowa.

- To zaledwie drobnostka na poczet mojego długu - wyjaśniła. - Jak mogłoby być inaczej?

- Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. Wykonywałem swoją robotę. I na dodatek niezbyt dobrze, gdyż nie ocaliłem twojego domu. Ani niczego innego.

- Zrobiłeś znacznie więcej - oznajmiła cicho. - Uratowałeś moją rodzinę. I mnie.

- Tylko twojego kota. Ty byłaś już niemal za drzwiami, kiedy tam dotarłem. Sama byś się uratowała.

Lucy nachyliła się nad stołem i położyła rękę na dłoni Boone'a. Zauważył, że palce ma drobniutkie jak u dziecka. Ale podobała mu się jej ręka. Silna, z krótkimi paznokciami, niezbyt zadbana. Miał przed sobą dłonie pracującej kobiety. Zupełnie inaczej wyglądały ręce Genevieve. Jak z reklamy brylantowych pierścionków. Nigdy nie był w stanie zrozumieć kobiet, dla których najważniejszą sprawą w życiu były biżuteria i wypielegnowane ciało.

Podniósł głowę i zobaczył, że Lucy uważnie mu się przygląda. Poczucił się nieswojo. Zapragnął odwrócić wzrok, ale nie potrafił się do tego zmusić.



- A więc, jak już mówiłam, uratowałeś moją rodzinę - powiedziała.

Czyżby za swoją rodzinę uważała kota? zastanawiał się Boone. Miała tylko to piekielne zwierzę? Do licha, nawet on nie był aż tak samotny.

Odpędził niewesołe myśli i zaczął przyglądać się Lucy. Popatrzył na rozcięty i siniejący policzek. Żałował, że nie udało mu się odnaleźć jej wcześniej. Przed upadkiem ze schodów. Uznał, że taka piękna skóra powinna zostać nietknięta.

I zaraz potem przypomniał sobie, że w przeszłości niemal identyczne rozumowanie o podobnych sprawach ściągnęło mu na głowę poważne kłopoty. Nie miał najmniejszego zamiaru powtórzyć tego błędu. To, co przeżył, wystarczało w zupełności.

- Uratowałem kota - powtórzył.

- I mnie - przypomniała. - Wyniosłeś mnie w bezpieczne miejsce.

- Czysty przypadek - mruknął pod nosem. - Po prostu tam właśnie się znalazłem. Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo. Nie było to nic wielkiego.

Lucy zaprzeczyła ruchem głowy, a potem zdjęła rękę z jego dłoni i podniosła kubek z kawą. Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu. A potem odezwała się cichym głosem:

- W porządku. Nie spodziewałam się, że zrozumiesz, co łączy mnie i Macka. - Kiedy ponownie spojrzała na Boone'a, zobaczył w jej oczach bezbrzeżny smutek. - Ale nic nie zmieni faktu - ciągnęła - że wczoraj w nocy dostałeś się do wnętrza płonącego domu, aby uratować mojego kota. Znaczy on dla mnie więcej, niż możesz to sobie wyobrazić. Stąd mój dług wdzięczności. Kolosalny.

Boone zastanawiał się, czy nie zmieniłaby zdania, gdyby jej wyznał, że do płonącego budynku wrócił tylko dlatego, iż spodziewał się zastać tam dziecko. Co powiedziałyby na to, gdyby oznajmił, że nie ruszyłyby



nawet palcem, wiedząc, iż Mack to kot?

Uznał jednak, że będzie bezpieczniej przemilczeć tę sprawę. W przeciwnym razie Lucy mogłaby zechcieć udusić go własnymi rękami.

- Za wszystko ci się odwdzięczę - powtórzyła jeszcze raz. - Obiecuję solennie.

Nie słysząc z ust Boone'a Cagneya żadnego komentarza, nerwowo poruszyła się na krześle. W nocy nie zwróciła większej uwagi na wygląd swego wybawcy. Teraz jednak, w domowej scenerii, siedząc z nim razem w kuchni przy pączkach i kawie, uprzytomniła sobie, jak atrakcyjnego ma przed sobą mężczyznę.

Nie był przystojny w dosłownym znaczeniu tego słowa. Rysy miał zbyt nieregularne. Ale był mężczyzną fizycznie bardzo pociągającym. Ciężkie powieki nadawały jego twarzy pozornie spokojny wyraz, ale w zielonych, głębokich oczach jawił się ogień. Jak na jej gust były zbyt żywe, zbyt błyszczące i zbyt przenikliwe. Falujące, ciemnoblond włosy, kłębiące się na głowie w nieładzie, świadczyły o niepokornym charakterze ich właściciela.

Najsilniej jednak wzrok Lucy przyciągały usta. Wydatne, miękkie i pełne wyrazu. Określeń tych nie użyłaby nigdy w stosunku do mężczyzny, który sprawiał wrażenie człowieka twardego i nieprzejednanego, ale natychmiast przyszły jej na myśl, gdy tylko spojrzała na swego wybawcę. Usta Boone'a Cagneya odzwierciedlały wrażliwość i uczuciowość ich posiadacza.

Lucy uprzytomniła sobie, że wlepia wzrok w Boone'a. Spuściła oczy. Na widok obnażonego torsu, pokrytego ciemnym owłosieniem, krew uderzyła jej do głowy. Poczuła dziwny ucisk w podbrzuszu. Ból pragnienia. Dotychczas nigdy nie zwracała większej uwagi na mężczyznę o atletycznej sylwetce. I chociaż Boone Cagney był z pewnością człowiekiem dbającym o kondycję fizyczną, nie miał zbyt rozwiniętych mięśni.



Jednym słowem, był zbudowany idealnie. W sam raz. Z muskularni wyraźnie zarysowanymi pod gładką skórą. Miał silne ręce. Uprzytomniwszy sobie, że to na nich wynosił ją wczoraj z płonącego domu, Lucy nagle zadrżała.

Jaka szkoda, że byłam wtedy półprzytomna, pomyślała z ironią. Przyjemność nie trwałaby jednak długo. Znalazłszy się w tak wspaniałych męskich ramionach, każda normalnie reagująca kobieta od razu straciłaby przytomność.

Gdyby wcześniej zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo pociągający jest Boone, pewnie zrezygnowałaby z pomysłu, który zamierzała zrealizować. Uznała jednak, że na odwrót jest już za późno. Dług wdzięczności musiała spłacić, a innego sposobu wymyślić nie potrafiła.

- Nie musisz niczym się rewanżować - odparł, usłyszawszy oświadczenie Lucy.

W tym człowieku było jeszcze coś, co działało na zmysły i wprowadzało w stan podniecenia. Jego głos. Niski i szorstki. Niezwykle seksowny. Każde słowo wymawiał powoli i jakby leniwie, nadając mu erotyczne zabarwienie. Był to głos mężczyzny, który potrafi szybko uwieść kobietę, lecz zaspokajając ją powoli. Za każdym razem gdy Lucy słyszała mówiącego Boone'a jej ciało przebiegał dreszcz.

Zignorowała protest. Z przekonaniem powtórzyła, że zamierza dotrzymać obietnicy.

- Proszę pani... to znaczy Lucy - poprawił się szybko –jak już mówiłem, żadne przejawy wdzięczności nie są mi potrzebne. Chciałbym, żeby było to jasne. Rozumiemy się?

Zarówno niezbyt grzeczne słowa, jak i autorytatywny ton nie zniechęciły Lucy do wyjawienia swych zamiarów. Zebrała się na odwagę i tak szybko, jak tylko potrafiła, oświadczyła Boone'owi:

- A więc umowa stoi. Na cały miesiąc oddaję się w twoje ręce.

Kiedy zamiast odpowiedzi ujrzała jego zdumiony wyraz twarzy, z



którego wynikało, że nie pojmuje, co ona ma na myśli, powtórzyła, nieco inaczej formułując propozycję:

- Możesz mną rozporządzać do woli przez cały miesiąc.

Nadal chyba niczego nie pojmował.

Wreszcie, żeby ostatecznie wyjaśnić sprawę, Lucy nabrała głęboko powietrza i mężnie patrząc Boone'owi prosto w oczy, wypaliła:

- Przez najbliższe trzydzieści dni będę robiła wszystko, co mi polecisz. Bo przez najbliższe trzydzieści dni zamierzam stać się twoją niewolnicą.

RS



## ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Lucy sformułowała jednoznacznie swoją propozycję, ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Boone'a. Patrzył na nią spod półprzy-  
mkniętych powiek, tak jakby nadal nie rozumiał niczego. A zaraz potem  
podniósł do ust kubek z kawą i zaczął się jej przyglądać tym swoim  
dziwnym wzrokiem. Denerwującym, a zarazem pociągającym. Miała  
ochotę wziąć go za rękę i wyszeptać: hej, chłopcze, jestem twoja.

- Słyszałeś, co powiedziałam? - spytała głosem, w którym  
przebijały wahanie i niepewność, z czego zdawała sobie sprawę.

- Mówiłam, że chcę zostać twoją niewolnicą. - Milczał, więc  
ciągnęła dalej: - Od dziś przez cały miesiąc będę robiła wszy-  
stko, co mi każesz.

W zamyśleniu zagryzł dolną wargę, lecz ani na chwilę nie spuszczał  
wzroku z siedzącej przed nim kobiety. Powoli zaczynało do niego do-  
cierać to, co powiedziała.

- Moją niewolnicą - powtórzył bezbarwnym głosem. Skinęła pota-  
kująco głową.

- Przez miesiąc. Znów skinęła głową.

- Począwszy od dziś.

- Tak... tak.

- Rozumiem.

Znów wypił łyk kawy. Minę miał przy tym tak znudzoną, jakby po-  
dobne rozmowy prowadził codziennie. Skąd ta pewność, że nie adorują  
go kobiety i nie zasypują tego rodzaju propozycjami? pomyślała nagle





Lucy. Może całe chmary wielbicielek błagają Boone'a, aby wziął je do niewoli i uwięził w piwnicy? Czemu jednak myśl, iż może być atrakcyjny także dla innych kobiet, tak ją zaniepokoiła?

- Nie powiesz nic więcej? - zdziwiła się. Pytając, usiłowała nadać głosowi spokojne brzmienie.

Nadal powoli sączył kawę.

- A co miałbym powiedzieć?

Wyprostowała ramiona, lecz zaraz potem je opuściła.

- Że odpowiada ci moja oferta.

- Żartowałaś, więc niby dlaczego miałbym dawać ci poważną odpowiedź?

- Skąd wiesz, że żartowałam?

Wstał z krzesła. Nachylił się nad stołem, tak że jego głowa znalazła się o milimetry od twarzy Lucy. Oczy Boone'a, osłonięte ciężkimi powiekami, przestały wyglądać na znudzone i obojętne. Zapaliły się w nich jasne ogniki.

- Oświadczasz zupełnie obcemu mężczyźnie, że przez miesiąc będziesz jego niewolnicą - powiedział powoli miękkim głosem. - Czy taką propozycję można traktować serio?

Kiedy tak to ujmował, sens jej oferty ulegał zmianie. Poczuli się niepewnie.

- Niewolnica. - Głos Boone'a stał się jeszcze spokojniejszy, a tym samym bardziej niepokojący. - To określenie może nasuwać rozmaite... bardzo interesujące skojarzenia.

Lucy odchyliła się w tył, ale dystans między nią a Boone'em wcale się nie zmniejszył.

- Teraz, gdy to mówisz, sędzę, że może...

Przerwał jej niemal w pół słowa.

- Co za kobieta oddaje się w niewolę mężczyźnie, którego prawie nie zna?

Błyskawicznie znalazł się po drugiej stronie stołu, usiadł tuż obok Lucy, podparł głowę ręką i nachylił się jeszcze bliżej.



Poczuła zapach sosnowego mydła, dymu i jeszcze czegoś, czego nie potrafiła zidentyfikować. Stanowiły odurzające połączenie, któremu nie sposób było się oprzeć. Zamknęła oczy i zaczęła z lubością głęboko wdychać otaczający ją aromat.

- A więc, Lucy? - wyszeptał miękkim głosem. - Jaka kobieta robi mężczyźnie takie propozycje?

Podniosła powieki. Tuż obok swojej twarzy zobaczyła głowę Boone'a. Gdyby zechciała, mogłaby nachylić się trochę i bez trudu go pocałować. Ale robić tego jeszcze nie chciała.

Jeszcze nie.

- Kobieta, która... która ma do spłacenia dług - odparła po dłuższej chwili. - Naprawdę wielki dług. Ogromny...

Boone skinął głową. Jego przenikliwy wzrok sprawił, że ciało Lucy zaczęła ogarniać fala gorąca.

- Powiadasz, że ogromny? - Zamilkł na chwilę. - Mogę sobie wyobrazić, jak może wyglądać spłacanie aż takiego długu... - znacząco zawiesił głos.

Coś niedobrego zaczyna chodzić mu po głowie, uznała Lucy. Spod lekko przymkniętych powiek obserwowała Boone'a, zastanawiając się, o czym teraz myśli. Na jego twarzy malowały się dwa odczucia. Zarówno ciekawość, jak i zwykle pożądanie.

Przez ciało Lucy znów przebiegła fala gorąca. Na ułamek sekundy obezwładnił ją przenikliwy męski wzrok.

Wzięła się w garść. W jej ofercie nie było ani cienia seksualnych obietnic, przypominała sobie. Żadnych. Ani odrobiny. Z kilku prostych powodów.

Po pierwsze, ten mężczyzna miał najbardziej na świecie zniewalający, zmysłowy wzrok.

Po drugie, jego umięśnioną pierś pokrywał gęsty zarost, w jaki każda kobieta pragnie wsunąć palce.

Po trzecie, nadal dobrze pamiętała, iż na swoich silnych rękach wyniósł ją z płonącego domu w bezpieczne miejsce.



Po czwarte, od bardzo, bardzo dawna nie interesował jej fizycznie żaden mężczyzna.

Po piąte, jego usta były tak bardzo...

Z trudem oprzytomniała. Przypomniła sobie, po co tu przyszła i jakie czekało ją zadanie. W żadnym razie nie zamierzała uwodzić Boone'a Cagneya. Bycie niewolnicą przez jeden miesiąc wcale nie oznaczało spełniania jego seksualnych zachcianek.

Aczkolwiek teraz, gdy przyszło jej to na myśl...

Stop! Lucy powstrzymała myśli biegnące w niewłaściwym kierunku. Aż tak głupio się nie zachowa. Jedno bolesne doświadczenie powinno w zupełności wystarczyć na całe życie.

Przez pełne sześć lat małżeństwa spełniała zachcianki byłego męża. Czyniła wszystko, co w jej mocy, aby zadowolić Hankę Dolana. A on odpłacił się jej za to, jak tylko można było najgorzej. Mężczyznom ufać nie wolno. Świetnie o tym wiedziała. Można było postępować dokładnie tak, jak sobie życzyli, bez względu na to, czy chciało się tego, czy nie, i nadal nie byli zadowoleni. Byłaby skończoną idiotką, gdyby jeszcze raz dopuściła do podobnej sytuacji.

Musiała od razu wyjaśnić wszystko Boone'owi. Nie było to łatwe. Miała trudności ze znalezieniem właściwych słów.

- Ja... To znaczy... - Westchnęła i zaczęła od początku. - Sądzę, że ty nie... - Nagle zrobiło się jej niewygodnie. Poprawiła się na krześle. Spojrzała Boone'owi prosto w oczy, lecz szybko spuściła wzrok. Zaczynała się denerwować. Zmusiła się, żeby znów patrzeć mu w twarz. - Coś mi się zdaje, że moją ofertę rozumiesz nieco... opacznie - wydusiła wreszcie.

- Tak? - zapytał miękkiem głosem. - Dlaczego?

Lucy wiedziała, że jeśli nie przestanie patrzeć mu w oczy, to nie da sobie rady. Niestety, widok umięśnionego torsu też nie rozjaśniał jej umysłu. Zaczęła więc wodzić wzrokiem po kuchni.

- Kiedy powiedziałam, że przez miesiąc będę twoją niewolnicą - zaczęła od nowa - miałam na myśli wykonywanie dla ciebie różnych



prac. Tych, na które nie starcza ci czasu lub nie masz na nie ochoty. Mam na myśli głównie roboty domowe.

- Roboty domowe - powtórzył Boone głosem nie zdradzającym jego myśli.

Lucy zatrzymała wzrok na kalendarzu wiszącym na ścianie. Kartka była nieaktualna od dwóch miesięcy.

- Tak. Wiesz, o co mi chodzi - wyjaśniała dalej. - Umyję ci samochód, zgrabię liście, zrobię zakupy. Jadąc rano do pracy, przywiozę ci śniadanie. Lub przyrządzę kolację, wracając wieczorem do domu. Mam na myśli takie rzeczy.

Kiedy znów spojrzała na Boone'a, zaczęła podejrzewać, że chodzą mu po głowie zupełnie inne myśli. Całkiem niestosowne.

- A pościelesz moje łóżko? - zapytał z podejrzanym błyskiem w oku, potwierdzającym jej podejrzenia.

Zagryzła nerwowo wargi. Znów poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca.

- Jasne - odparła. - Też mogę to robić.

- Każdego ranka? Zawahała się na chwilę.

- Tak. Jeśli tego zechcesz.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz szybko zamknął je z powrotem. Odchylił się w tył i wymownym gestem skrzyżował ręce na piersi.

- Zabawa skończona - oznajmił. Odsunął krzesło od stołu, wstał i kilkoma długimi krokami przemierzył kuchnię. Odwrócił się i popatrzył na Lucy. Wyglądał na rozluźnionego, lecz w jego oczach przebijała determinacja. - Doceniam to, co dla mnie chcesz zrobić - stwierdził. - Ale oferty nie przyjmę.

- Dlaczego? Czy nie rozumiesz, że jestem twoją dłużniczką? Zaczął protestować, lecz Lucy przerwała mu w pół słowa. Tak gwałtownie poderwała się od stołu, że przewróciła krzesło. Nie zwracając na nie uwagi, podeszła do Boone'a i stanęła tuż przed nim. Popatrzyła mu prosto



w oczy. Tym razem musiał ją zrozumieć.

- Mam dług - powiedziała krótko. - A ja zawsze wywiązuję się ze zobowiązań.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. Poczula ból nadal jątrzącej się rany. Nigdy nie spłaciła długu wdzięczności ludziom, którzy ją adoptowali. Mimo że nie spełniła oczekiwań, zatrzymali ją u siebie i pozwolili jej zostać.

Ich wielkim marzeniem było mieć córeczkę. Delikatną, wiotką istotkę noszącą szyfonowe, różowe sukienki i kokardki na wijących się lokach. Chodzącą na lekcje tańca, grającą na fortepianie i śpiewającą w szkolnym chórze. Doskonale ułożoną, odzywającą się tylko wtedy, kiedy ktoś zada jej pytanie. I bezustannie posłuszną. Taką córeczkę wyobrazili sobie jej późniejsi przybrani rodzice, gdy zgłaszali chęć zaadoptowania dziewczynki.

Dostali dziecko. Ale zamiast słodkiej dziewczuszki - małego, wojowniczego czorta w spódniczce, który tłukł chłopców w całej okolicy. W szkole nigdy nikt nie potrafił Lucy w niczym dorównać. Ani podczas zabaw i gier, ani w zawodach sportowych, ani w bójkach.

Mimo stałych wysiłków przybranych rodziców, żeby ją ujarzmić, stanowczo odmówiła zajmowania się sprawami, jak to się mówiło, typowo kobiecymi. Uwielbiała lekkoatletykę i to wszystko, czym interesowali się wyłącznie chłopcy. I nigdy nie było jej do twarzy w różowym kolorze.

Każdego dnia Lucy słyszała, że rozczarowuje rodziców. Nie tracili żadnej okazji, by jej przypomnieć, jak bardzo powinna być wdzięczna za to, że ją adoptowali. I zatrzymali pod swoim dachem, mimo wielu wad.

Ciągle powtarzali Lucy, że nigdy w życiu nie potrafi im się odwdziżyć. I mieli rację. Nigdy nie stała się taką córką, na jakiej im zależało. A teraz, gdy już nie żyli, dług pozostał. W całości nie spłacony.



Tym razem jednak stanie się inaczej, postanowiła Lucy. Przez resztę życia nie zamierzała mieć nowych wyrzutów sumienia z powodu długu wdzięczności zaciągniętego u dzielnego strażaka. Zwłaszcza że za to, co była mu winna, bez większego trudu potrafiła się zrewanżować.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Boone'a.

- To nie jest żaden dług - obstawał przy swoim.

- Jest.

Popatrzył uważnie na Lucy. Wyczuwał, że w prośbie tej kobiety kryje się znacznie więcej. Ale co? Nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo zależało jej na zrewanżowaniu się całkowicie obcemu człowiekowi. Na spłaceniu długu, który, jego zdaniem, był czystą fikcją. Lucy Dolan była jednak uparta.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, stanowiły kontakty z tego typu kobietą, zakłócającą jego codzienną egzystencję. Boone Cagney był samotnikiem. Człowiekiem, który bardzo sobie cenił odizolowanie się od innych ludzi i obcowanie wyłącznie we własnym towarzystwie. Lubił spokój w domu i niczym nie zakłócone życie.

Mimo że niewiele czasu spędził w towarzystwie Lucy, podejrzewał, iż była ona typem kobiety, przy której nikt nie byłby w stanie zaznać ani chwili wytchnienia. Tym bardziej on sam.

- Zapomnij o całej sprawie - powiedział. Chciał wreszcie położyć kres tej dziwacznej sytuacji. Musiał natychmiast i na zawsze pozbyć się z domu tej kobiety.

- Ale...

Wziął Lucy za ramię. Musiał bardzo uważać, żeby nie dać się omanić wielkim, niebieskim oczom.

- Dopiero co straciłaś dom i cały dobytek - przypomniał jej łagodnym tonem. - Masz teraz do rozwiązania wiele własnych problemów i tym powinnaś się zająć.

Na twarzy Lucy odmalowało się rozczarowanie. Było jasne, że odmowa zrobiła jej dużą przykrość. Martwiła się, że nie będzie w stanie



spłacić idiotycznego moralnego długu, w rzeczywistości wyimaginowanego.

Boone'owi przyszła do głowy zupełnie nowa myśl. Czyżby źródłem upierania się tej kobiety, by ingerować w jego życie, było jakieś podświadome dążenie do zmanifestowania niechęci stawienia czoła temu, co ją spotkało? Skupiając całą życiową energię na zakłócaniu mu życia, nie będzie musiała myśleć o uporządkowaniu własnego. Gdyby te podejrzenia były słuszne, należałoby koniecznie odrzucić bezsensowną propozycję.

Myśl o atrakcyjnej kobiecie pod własnym dachem bardzo poruszyła Boone'a. Lucy była drażniąca, a zarazem podniecająca. Poczł reakcję własnego ciała.

- Ale ja muszę to zrobić. - W głosie Lucy przebijała desperacja. - Muszę.

- Idź do domu - polecił spokojnym tonem, pragnąc wreszcie zakończyć tę bezsensowną dyskusję.

- Ale...

- Idź do domu - powtórzył. Roześmiała się z przymusem.

- Kiedy ja nie mam domu - przypomniała.

Był zły na siebie za popełnioną gafę. Nie wiedział, co powiedzieć. Milczał.

- W porządku. Już idę. - Lucy ustąpiła. - Ale sprawa nie jest jeszcze zakończona. Zawdzięczam ci życie i za to się odwdzięczę. Przyrzekam.

Odwróciła się na pięcie i nie oglądając za siebie, opuściła kuchnię. Przez dłuższą chwilę Boone wsłuchiwał się w odgłosy jej kroków. Człł, że ta kobieta jeszcze wróci i wniesie chaos do jego spokojnego, unormowanego życia.

Podejrzenia Boone'a sprawdziły się już najbliższego wieczoru, zaraz po jego powrocie z dodatkowych zajęć. Strażacy pełnili dwudziestoczte-



rogodzinne dyżury. W praktyce oznaczało to, że w tym czasie właściwie mieszkali w remizie. Jedli tam i spali. A potem na dwie doby wracali do własnych domów.

Taki tryb pracy umożliwiał tym ludziom podejmowanie dodatkowych zajęć w czasie wolnym od służby. Boone też korzystał z tej możliwości. W miejscowym ośrodku młodzieżowym prowadził lekcje samoobrony. Miał więc dni wypełnione pracą po brzegi, co sprawiało, że niewiele czasu pozostawało mu na myślenie o innych rzeczach. Zwłaszcza o takich, które go nie bawiły.

Nie chciał myśleć na przykład o Lucy Dolan. O ogromnych, niebieskich oczach. Jasnych i szczerych. Nie skrywających żadnych tajemnic. Pełnych ciepła i namiętności: A także o drobnych dłoniach, tak mile dotykających jego skóry. O ustach, które tak bardzo pragnął...

Dojeżdżając do domu ostro zahamował. Na podjeździe zobaczył jaskrawoczerwoną półcieżarówkę. Westchnął głęboko. Wiedział, że nie uda mu się łatwo zapomnieć o Lucy Dolan, jeśli ta kobieta stale będzie odświeżała mu pamięć swoją niepokojącą obecnością.

Gdy tylko wysiadł z samochodu, od razu poczuł zapach dymu. Jego źródło znajdowało się na tyłach domu. Pochodził z grilla. Do uszu Boone'a docierały głośne tony jazzowej muzyki.

Westchnął głęboko i ruszył na spotkanie swojej niewolnicy.

Zastał Lucy pochyloną nad grillem do barbecue. Nowiuteńkim. Sosem pachnącym czosnkiem i papryką smarowała kawałki kurczaka i dwa dużych rozmiarów steki. W jednym ręku trzymała kieliszek wina, drugą wsadziła w rękawicę o kształcie szczypców ogromnego kraba i podrygiwała w takt muzyki.

Ciuchy, które miała na sobie dzisiejszego wieczoru, leżały na niej znacznie lepiej niż zniszczone, robocze, chyba męskie ubranie. Zgrabne biodra i nogi obciskały niebieskie dzinsy. Stroju dopełniał czerwony





sweter i obszerny fartuch ozdobiony ogromnym napisem: „Pocałuj kucharkę”.

Za plecami Lucy, rozciągnięty w leżaku jak pasza turecki, spoczywał kot. Mack czuł się w tej chwili z pewnością znacznie lepiej niż Boone. Wielki zwierzak zobaczył go wcześniej niż kucharka i natychmiast przyjął agresywną postawę. Podniósł się na leżaku, najeżył i wydał z siebie groźny pomruk. Przypominał on bardziej wilcze wycie niż odgłos wydawany przez domowe zwierzę.

Lucy usłyszała pomruk Macka. Odwróciła się, zobaczyła Boone'a i obdarzyła go promiennym uśmiechem. Powitanie to niczym nie przypominało wrogiego zachowania się jej kocura.

- Cześć - odezwała się takim tonem, jakby ich wcześniejsza, niezbyt przyjemna wymiana zdań w ogóle się nie zdarzyła i jej obecność na podwórku Boone'a, a także pieczenie na grillu, były najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. - Właśnie zastanawiałam się, kiedy wrócisz.

Niechętnie, ze względu na niesympatyczne zwierzę, do którego obawiał się stanąć plecami, Boone przeniósł wzrok z Macka na Lucy. Zbliżał się do niej powoli, ciągle nie pojmując, dlaczego przyszła. Dobrze wiedziała, że on sobie tego nie życzy. Nie wyglądała na wariatkę. Przez ostatnie dwa dni przeżyła jednak wiele. Nigdy nie wiadomo, jak człowiek zareaguje na taką tragedię.

- Nie mówiłem, kiedy wrócę - odezwał się ostrożnie – po prostu dlatego, że nie spodziewałem się tutaj cię zastać.

Przyjęła do wiadomości to wyjaśnienie. Kiwnęła głową.

- Masz ochotę na stek? - spytała. - Może być też kurczak. Nie wiedziałam, co wolisz. Piekę ziemniaki.

Na wszelki wypadek Boone zatrzymał się dobre dwa kroki przed Lucy i uśmiechnął najłagodniej, jak tylko potrafił. Błyszczącymi, nowiutkimi szczypcami obracała na grillu kawałki kurczaka. Błyszczącym, nowiutkim długim widelcem nakłuła stek.



Nuciła melodię rozbrzmiewającą z głośnika i zachowywała się tak, jakby jej wkroczenie do domu Boone'a i ingerencja w jego prywatne życie były czymś absolutnie normalnym.

- Coś mi się zdaje, że już zdążyłaś wydać trochę pieniędzy z odškodowania - stwierdził spokojnie.

Lucy obdarzyła go uśmiechem.

- Tak. Pierwszą rzeczą, jaką kupiłam, był grill. Jak na ironię. Ale uwielbiam pitrasić na powietrzu. To znaczy uwielbiałam.

Zanim... zanim... No, wiesz, co mam na myśli.

Twarz Lucy nagle posmutniała i Boone był zły na siebie, że przypomniał jej o przeżytym nieszczęściu. Szybko jednak wzięła się w garść. Z nadmierną uwagą obracała teraz udo kurczęcia.

- Lucy?

Zamiast spojrzeć na Boone'a, sięgnęła po butelkę chłodzącą się w przenośnej lodówce ustawionej na ziemi. Nalała wina do drugiego kieliszka. Zamierzała wręczyć go Boone'owi.

- Słucham.

Udał, że nie widzi wyciągniętej ręki.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

Popatrzyła na niego tak, jakby miała przed sobą kompletnego wariata.

- To przecież oczywiste. Przyrzadzam ci kolację.

- Dlaczego?

- Bo jestem twoją niewolnicą, a one robią takie rzeczy. - Lucy spojrzała na kieliszek, który trzymała w ręku. - Widzę, że jesteś spięty. Trochę alkoholu dobrze ci zrobi.

- Nie. Dziękuję.

- Jasne. Co za głupota z mojej strony! Do steku jest lepsze czerwone wino.

- Nie. Dziękuję - odmówił ponownie.

- Nie chcesz?

Usiłował mówić głosem opanowanym i obojętnym.

- Nie piję alkoholu - oświadczył z naciskiem.



Lucy zamrugła powiekami.

- W porządku. Ja tylko... - Wzięła do ręki swój kieliszek, już prawie pusty, i wlała do niego wino, które przygotowała dla Boone'a. - Zwykle nie wypijam więcej niż kieliszek lub dwa, ale dzisiaj... - Wzruszyła ramionami, nie dokończywszy zdania.

Nie spodobał mu się ton jej głosu. Ani to, co powiedziała chwilę później.

- Na razie nigdzie się nie spieszę - oznajmiła spokojnie.

- Dlaczego?

- Jak już mówiłam, przez cały miesiąc będę twoją niewolnicą.

Boone zaczynał powoli wynajdywać w myśli dobre strony tego pomysłu, niektóre całkiem bezwstydne, gdy nagle za plecami usłyszał przeciągły pomruk. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył Macka. Czarne zwierzę stało na brzegu leżaka i czaiło się do skoku. Wpatrywało się w Boone'a tak, jakby to on, a nie steki, były w kocim menu dzisiejszej kolacji. Zwierzak wysunął długi, różowy język i oblizał się łakomie. Miał na widoku niezły kąsek?

- Lucy, ten twój kot... - zaczął ostrożnie Boone.

- Chodzi o Macka? - spytała obojętnie. - Jest zupełnie nieszkodliwy. Dzisiaj nie dopisuje mu humor. Po ostatnich przeżyciach chyba jeszcze nie doszedł do siebie. Ale się nie martw. Będzie zachowywał się przyzwoicie. To dobry chłopczyk.

W tym momencie, jakby bardziej pewny siebie dzięki pochwałom Lucy, Mack zeskoczył z leżaka na ziemię i błyskawicznie rzucił się na nogi Boone'a. Od nieoczekiwanego uderzenia delikwent zachwiał się lekko. Był przekonany, że dzikie zwierzę zaraz wbije mu kły i pazury w niższe, wystające części ciała. Z ulgą, ku swemu ogromnemu zdumieniu spostrzegł, że kot zaczyna ocierać się o jego nogi, tak jakby chciał okazać życzliwość.

- Widzisz - odezwała się Lucy. — Mówiłam, że gdy lepiej poznasz Macka, przekonasz się, co to za słodkie stworzenie.



I nagle, znów jakby tylko czekając na pochwałę ze strony swej pani, wielki zwierz zniemacka zatopił zęby w łydce Boone'a.

Zabolało jak diabli. Nie ochroniły Boone'a grube dzinsy. Jęknął i cofnął się, potracając Lucy, która o mały włos, a wpadłaby na rozpalony grill. Chwycił ją jednak w porę i niezbyt przytomnie przyciągnął do siebie. A potem gniewnym wzrokiem zmierzył kocura, który odszedł powoli, jakby znudzony dalszym przebiegiem wypadków.

- Co się stało? - spytała Lucy. Miała urywany oddech.

- Ugryzł mnie ten piekielny kot - oświadczył Boone.

- Niemożliwe.

- Ugryzł.

- Wcale nie.

Zdumiony Boone podniósł wzrok.

- Ugryzł mnie. Najpierw owinał się wokół mojej nogi, a potem, bez żadnego powodu, zatopił w niej zęby.

- Och, to wcale nie było ugryzienie - śmiejąc się stwierdziła Lucy. - Mack capnął cię z miłości. Robi tak czasami, gdy staje się nadmiernie czuły. Sam widzisz, że cię polubił.

Boone prychnął z niechęcią.

- Ugryzł solidnie. Chce pożreć mnie na kolację.

- Nie bądź śmieszny - zganiła go Lucy. - Stek mu wystarczy.

Boone był pewny, że się przesłyszał.

- Masz zwyczaj karmić kota stekami? - zapytał, nie ukrywając oburzenia.

Lucy pomachała szczypcami w powietrzu.

- Oczywiście, że nie. Mack jada steki tylko wtedy, kiedy nadarza się po temu wyjątkowa okazja.

Zamierzała kontynuować ten temat, lecz zaczęła mieć trudności z sensownym wyrażaniem myśli, gdyż nagle uprzytomniła sobie, jak bardzo niepewna jest jej pozycja. Nie ze względu na to, że stała obok rozgrzanego grilla, lecz dlatego, że miała obok siebie jeszcze gorętszego i twardszego niż stal mężczyznę.



Nieco złagodniał, uznała z ulgą, spoglądając na Boone'a. Nadal jednak był poruszony i napięty. Jego oczy stały się szkliste. Poklepywał ją lekko po plecach. Czekala, aż skończy, lecz wcale nie było mu pilno. Przesunął dłonie niżej wzdłuż jej ciała. Poczula się niepewnie.

Zamiast dać Lucy odejść, przyciągnął ją ku sobie. Przez chwilę zastanawiała się, czy Boone zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo są blisko. Dotknęła jego rąk. Były leniwe i spokojne. Beznamiętnie głaskał plecy i ramiona Lucy, lecz kiedy wsunął dłoń pod jej pierś, zaczęła podejrzewać, że wcale nie dotyka jej bezmyślnie i machinalnie. Zapragnęła poddać się nastrojowi chwili i pozwolić Boone'owi robić to, na co miał ochotę. Na szczęście jednak wziął górę rozsądek.

Właściwie uratował ją Mack. Zaczął pieśczośliwie ocierać się o nogi swej pani i z miłości capnął ją w łydkę. Nagły ból spowodował, że oprzytomniała. Nie istniał żaden powód, dla którego miałby obejmować ją mężczyzna, którego ledwie znała.

Mimo że była jego niewolnicą.

A właściwie dlatego, że nią była.

- Boone... - szepnęła.

Ręka, która zawędrowała aż pod pierś Lucy, zatrzymała się w miejscu, lecz druga dłoń Boone'a nadal wędrowała po jej plecach.

- Hmm?

- Już chyba... odzyskałam równowagę.

Objął Lucy w pasie. Czubki palców wsunął pod sweter. Miał ochotę dostać się pod pasek jej dzinsów.

- To dobrze - uznał.

Wszędzie tam, gdzie jej dotykał, skóra stawała się gorąca. Palila. Lucy zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

- Pozwól mi już odejść - poprosiła szeptem.

Dłonie opasujące talię przesunęły się w górę. Wtargnęły pod sweter i



dotarły aż pod piersi. Z wrażenia serce Lucy zaczęło bić jak szalone. Czowała, że gwałtownie mruga powiekami.

Gdy szeroko otworzyła oczy, zobaczyła, że Boone uważnie się jej przygląda. Miał zarumienioną twarz.

- Jasne. Jasne. - Jego słowa były tak urywane jak ruchy, kiedy cofał się i wycierał dłonie o dzinsy. - Chciałem się tylko upewnić, że się nie poparzyłaś.

Za późno, pomyślała Lucy. O niebo za późno.

- Dziękuję - wybąkała. - Jestem wdzięczna za troskę. Odchrząknął kilka razy, zanim znów się odezwał.

- A więc... - zaczął. - Co to jest? - Wskazał małe, owinięte folią pakieciki. Leżały na grillu.

Lucy była wdzięczna Boone'owi za zmianę tematu. Spojrzała w miejsce, które pokazywał palcem.

- Bułki z kapustą.

Skrzywił się z niesmakiem. Jego reakcję uznałaby Lucy za zabawną, gdyby nie napięta atmosfera, która wytworzyła się nagle między nimi.

- Nie znoszę kapusty - oświadczył.

- Och, na pewno będzie ci smakowała - zapewniła go szybko. - Przyrządzam ją z bekonem, czosnkiem i cebulą... - Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że wewnętrzny niepokój nie odmalował się na jej twarzy. - Uwierz mi.

- Lucy, musisz przestać.

Rzuciła Boone'owi wyzywające spojrzenie. Oddychał głęboko. Przeciągał palcami po włosach. Zaczynała rozumieć ten gest. U Boone'a oznaczał całkowitą frustrację.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, a potem podszedł i delikatnie ściągnął z jej dłoni rękawicę.

- Idź do domu. - O sekundę za późno przypomniał sobie, że stoi przed nim istota bezdomna. Zamknął oczy. Odchrząknął i zaczął od nowa: - To znaczy wracaj do motelu. Odpocznij. Zadbaj o siebie. Nie potrzebuję twojej opieki.



RS



Było oczywiste, że Boone nie zamierza ustąpić ani o krok. Lucy nie miała pojęcia, jak się zachować. Postanowiła odwdziżyć się dzielnemu strażakowi za uratowanie siebie i Macka, ale równocześnie nie chciała własną osobą przysparzać mu kłopotów. Już raz przeżyła coś podobnego i nie było to miłe. Uznała, że w stosunku do Boone'a będzie musiała opracować jakąś szczególną taktykę.

Z ociąganiem skinęła głową.

- Zaraz sobie pójde. Zjedz w spokoju kolację. Na razie nie mam do-  
kład zabrać grilla, więc, jeśli pozwolisz, zostawię go u ciebie. Zabiorę,  
gdy tylko znajdę sobie jakieś lokum.

Odchrząknął.

- Powinienem... podziękować za przyrządzenie kolacji.

Miałaś w związku z nią wiele kłopotów... - Westchnął głęboko.

- Może... zostaniesz i zjemy razem? Potem pojedziesz do do... - za-  
wahał się na chwilę - wrócisz do motelu.

Lucy ogarnęła radość. Wiedziała jednak, że do całkowitej kapitulacji Boone'a droga jest jeszcze daleka. Pogodzenie się z faktem, że do swej dyspozycji ma niewolnicę, przychodziło mu z największą trudnością. Zaproponowanie wspólnej kolacji było z jego strony drobnym, lecz mi-  
łym ustępstwem na jej korzyść.

- Dobrze - przystała z entuzjazmem. Od razu zobaczyła, że tak szybką  
zgodą rozczarowała Boone'a. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie po-  
spieszyła się z uznaniem tej rundy za wygraną.

- Kolacja będzie ci smakowała - zapewniła, ponownie nakładając rę-  
kawicę. - Ten sos, a właściwie marynata do mięsa, jest zrobiony do-  
kładnie według przepisu od lat utrzymywanego w mojej rodzinie w  
największej tajemnicy...





## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gotuje rzeczywiście świetnie, uznał Boone, jakiś czas później spoglądając na opróżniony talerz. Nie oznaczało to jednak, że chce, aby przychodziła co wieczór i przyrządzała mu kolację. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak bardzo smakowało mu jedzenie. Od...

Prawdę powiedziawszy, teraz gdy o tym pomyślał, był przekonany, że właściwie nigdy aż tak nie cieszył go żaden posiłek. Zwykle do kuchni mikrofalowej wrzucał przyniesione ze sklepu gotowe dania, a potem jadł je samotnie, stojąc przy kuchennym zlewie. Nigdy jeszcze nikt nie przyrządzał posiłku specjalnie dla niego. Nigdy też nie siedział przy stole naprzeciw osoby o oczach tak niebieskich i ustach tak ponętnych jak u Lucy Dolan.

Nigdy też nie spotkał nikogo, kto potrafił rozmawiać tak jak ona.

Nie był to komplement. Ta kobieta jak iskra przeskakiwała z tematu na temat. Rozmowy dotyczyły niemal wszystkiego. Od polityki lokalnych władz i pielęgnacji trawnika do stwierdzenia, że to okropne, iż Tony Curtis za „Spartakusa” nie dostał Oscara, i opowieści o tym, jak ona sama spędziła letnie wakacje. Od różnorodności spraw, które poruszała, kręciło się Boone'owi w głowie. Mimo to jednak z największą uwagą słuchał jej słów.

- Kawy? - spytała, unosząc do góry pełny dzbanek.

I jeszcze było coś, co go oszołomiło. W ciągu zaledwie trzech godzin całkowicie objęła w posiadanie jego dom. Nakryła stół, a potem to, co



zostało z kolacji, włożyła do lodówki. Dotykała wszystkich jego rzeczy i robiła z nimi, co chciała. Rządziła się jak szara gęś!

Nic więc dziwnego, że Boone czuł się tak, jakby był gościem we własnym domu.

Dlaczego tolerował tego wielkiego kota we własnym łóżku? zastanawiał się później. Po zjedzeniu solidnego steku, nie zaproszony, idąc za swą panią, Mack dostał się do wnętrza domu i natychmiast powędrował po schodach do sypialni. Kiedy Boone poszedł tam za nim, zwierzak leżał już na jego łóżku. Akurat po tej stronie, po której sypiał pan domu. Zwinięty w kłębek na poduszce, kot spoglądał na Boone'a wielkimi, zielonymi oczyma, tak jakby uznając go za intruza, który miał czelność tu przychodzić.

Kiedy Boone wszedł do sypialni z zamiarem wygonienia niezdolnego zwierzaka, od strony łóżka rozległ się dobrze mu już znany złowrogi pomruk. Po chwili wahania Boone ustąpił, liznął, że o obecność kota wylegającego się na poduszce nie było warto kruszyć kopii.

W ogóle cały wieczór był dziwaczny.

- Tak. Proszę - odpowiedział Lucy. Mimo wszystko czuł się dobrze. - Kawa to świetny pomysł.

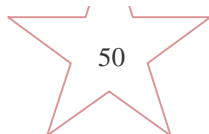
Uśmiechnęła się i napełniła obie filiżanki, a potem do własnej kawy wsypała takie mnóstwo cukru, że można by wykarmić nim całe mrowisko.

- Naprawdę nie chcesz ciasta? - spytała. - Przepraszam, że nie jest domowej roboty, ale powinno być niezłe.

Pokręcił głową. Nie mógł się nadziwić temu, co wokół się dzieje. No i, szczerze powiedziawszy, był już tak objedzony, że o deserze nawet nie mógł myśleć.

Lucy chyba zrozumiała opacznie gest Boone'a, bo zaraz oświadczyła:

- Następnym razem sama coś upiekę. Przyrzekam.



- Nie będzie następnego razu - oznajmił szybko, aby do końca wyjaśnić sprawę.

Lucy nie zareagowała na jego słowa. Rozglądała się po kuchni. Zatrzymała wzrok na szafkach.

- Trochę farby w żywym kolorze, a to miejsce będzie wyglądało zupełnie inaczej. Malowanie nie zajmie wiele czasu. Wystarczy parę razy machnąć pędzlem.

- Nic z tego - zaprotestował Boone. - Nie będziesz nic robiła w tym domu.

Lucy obdarzyła Boone'a lekkim uśmiechem.

- Wszystkie pokoje są takie ponure. Wyglądają na nie odnawiane od niepamięci...

- Nie, Lucy - sprzeciwił się kategorycznie. - Nie.

Zagryzła wargi. Dłużej go nie naciskała.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś - powiedziała po chwili. - Podoba mi się twój dom. Przypomina miejsce, w którym się wychowywałam.

Wcale nie interesowała go jej przeszłość. Mimo to jednak zapytał bezwiednie:

- A gdzie to było?

Przez chwilę tępym wzrokiem patrzyła na Boone'a, a potem odparła:

- Mówiłam o domu, który właśnie spłonął.

Gwałtownie odstawił podniesioną do ust filiżankę. Uzmysłowił sobie, jak ogromną poniosła stratę.

- Mieszkałaś w tym domu od dziecka?

- Pierwsze osiemnaście miesięcy życia spędziłam gdzie indziej. Ale...  
- zamilkła, chyba pod wpływem wspomnień.

- Ale co?

Spojrzała na Boone'a. Zastanawiała się, czy powiedzieć mu coś więcej.

- Nic. Nieważne. - Przez chwilę w milczeniu sączyła kawę, a potem odezwała się cichym głosem: - Mogę cię o coś prosić?



- Jasne.

Zamyślona, powoli kreśliła palcem koła wokół sęków na stole. Wyraz jej twarzy zrobił się trochę rozmarzony, a głos bardziej miękki. Zapytała:

- Jak sądzisz, co byłoby gorsze: umrzeć, zanim będziesz miał szansę wykonać wszystko, co sobie zamierzyłeś, czy żyć i nie mieć już przed sobą nic więcej do zrobienia?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Podczas luźnej rozmowy przy jedzeniu nie spodziewał się, że Lucy poruszy poważne tematy. Zaczynał jednak powoli przyzwyczajać się do tego, że w obecności tej kobiety powinien stale być przygotowany na jakieś niespodzianki.

- To pytanie na późniejszą rozmowę, po kolacji. – Zrobił taktyczny unik. - Dlaczego ta sprawa cię interesuje?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ostatnio wiele myślałam o tym, co powinnam zrobić z resztą życia. Mogłam zginąć podczas pożaru, nigdy nie poznawszy wielu rzeczy, na których mi zależało.

Na myśl o ewentualnej śmierci Lucy, mimo że mówiła o niej spokojnie i beznamietnie, Boone'owi zrobiło się nieswojo. Zdobył się tylko na krótki komentarz:

- Nie zginęłaś.

- Ale mogłam.

- Lucy...

- Pomyśl - przerwała mu - ciało ludzkie jest delikatne i słabe. Abstrahując od chorób i wypadków, można stwierdzić, iż w gruncie rzeczy niewiele potrzeba, by uśmiercić człowieka.

- Tak, ale ciało uczestniczyło w wielu ludzkich wyczynach, choćby we wzniesieniu takich budowli, jak piramidy. Przetrwało wiele wojen. Daje początek nowemu życiu.

Przez chwilę Lucy zastanawiała się nad słowami Boone'a. Pokiwała głową.

- Masz rację.



Wypiła łyk kawy. Zaczynała powoli otrząsać się z nękających ją ponurych myśli. Kiedy uśmiechnęła się do Boone'a, jego wzrok zatrzymał się na skaleczonej dolnej wardze. Gdy uprzytomnił sobie, że podczas pożaru Lucy była tak blisko śmierci, coś ścisnęło go za serce.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie powinnam snuć przy tobie takich filozoficznych rozważań.

- Dlaczego? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Już mówiłam, że od dnia pożaru przychodzą mi do głowy różne myśli.

- Jakie?

- Dotyczące rzeczy, które od dawna czekają na zrobienie. Wyłącznie z mojej winy.

Boone nie miał pojęcia, dlaczego interesuje go to, co mówi Lucy. Zapytał jednak:

- Na przykład: jakich? Spuściła wzrok.

- Na przykład powinnam odszukać rodzinę. Uwaga ta zaskoczyła Boone'a.

- Zdaje mi się, że mówiłaś, iż nie masz żadnych krewnych. I że twoi rodzice nie żyją od kilku lat.

- Tak. Ja tylko... - Znów się zawahała, tak jakby chciała porzucić temat, który dopiero co sama poruszyła.

- Co?

Boone westchnął głęboko. Ze sporą dozą rozczarowania zaczynał sobie uprzytomniać, że im więcej dowiadywał się na temat Lucy Dolan, tym bardziej złożone okazywało się wszystko, co jej dotyczyło.

I tym lepiej chciał ją poznać.

Dlaczego? Nie miał pojęcia. W tej kobiecie było coś...

Lucy nie wiedziała, co ją naszło. Ni stąd, ni zowąd niemal obcemu człowiekowi chciała wyjawiać najgłębsze sekrety. Boone miał w sobie



coś, co zachęcało do zwierzeń. Był człowiekiem, z którym łatwo się rozmawiało.

Mimo ciągłych zapewnień, że niczego od niej nie chce, było w nim coś magnetycznego, co ciągnęło ją do niego. Bez względu na to, czy mu się to podobało, czy nie.

- Mam brata. - Lucy usłyszała nagle własny głos, ujawniający głęboko skrywany sekret.

Wyznanie to widać nie zrobiło na jej rozmówcy żadnego wrażenia, gdyż minę miał zupełnie obojętną. Nie mógł zdawać sobie sprawy z wagi tego, co właśnie usłyszał. Przekonana od lat o istnieniu brata bliźniaka, Lucy nigdy nie mówiła o tym nikomu.

A teraz stało się. Wypowiedzianych słów cofnąć nie była w stanie. Nadal rozbrzmiewały w jej uszach. Piekielnie głośno.

- Przepraszam - powiedział Boone - ale wczoraj rano, kiedy tu przyszłaś, chyba twierdziłaś, że jesteś jedynaczką.

- Tak - przyznała niemal odruchowo, podobnie jak robiła to setki razy.

- Skąd więc twierdzenie, że masz brata?

Lucy westchnęła głęboko. Przesunęła palcami po włosach. Zastanawiała się, czemu, do licha, w ogóle o tym wspomniała. Zwłaszcza w obecności Boone'a, który zapewne nigdy tego nie zrozumie. Szybko jednak uprzytomniła sobie, dlaczego tak się stało. Wszystko przez tę datę. Jeszcze raz westchnęła ciężko.

Tylko dlatego, że dziś były jej urodziny.

- To sprawa psychiki - oznajmiła z uśmiechem. Zobaczywszy zmieszanie na twarzy Boone'a, poprawiła się szybko: - A może tylko wyobraźni. Sama nie wiem.

Patrzył na nią tak, jakby była niespełna rozumu.

- Chcesz pogadać na ten temat? - zapytał niepewnie. Potrząsnęła głową.

- Jest to tak dziwne, że wątpię, czy zrozumiesz.

- Przekonaj się.



Po co? pomyślała Lucy. Nie było sensu. Parokrotnie usiłowała wytłumaczyć przyjacielom niezwykle rytuał, w którym podświadomie uczestniczyła co roku w dniu własnych urodzin. I ani razu nikt tego nie pojął. Wszyscy grzecznie kiwali głowami i rzucali jej pełne troski spojrzenia.

Mimo to zaczęła teraz wyjaśniać Boone'owi:

- Kiedy miałam osiemnaście miesięcy, zostałam adoptowana. Jedyną rzeczą, jaką pamiętam z tamtego okresu, jest fakt, że mam brata bliźniaka. Leżeliśmy razem w kołysce. Bawiliśmy się. Obraz ten tkwi głęboko w mojej podświadomości.

W oczach Boone'a dojrzała zainteresowanie.

- Jesteś pewna?

- Tak. Ale moi przybrani rodzice oświadczyli, że nie miałam bliźniaczego rodzeństwa. Gdyby tak było, też by je adoptowali.

Lucy spuściła wzrok. Machinalnie bawiła się okruszynami chleba pozostawionymi na stole.

- Mama i tata nie mogli mieć własnych dzieci - dodała. - A zawsze marzyli o większej rodzinie. Ja im nie wystarczałam. Z jakiegoś powodu nie mogli jednak adoptować drugiego dziecka.

Dopiero po latach pojęła, że w ogóle nie próbowali. Dlaczego? Z prostego powodu. Lucy zawiodła ich całkowicie. Nie spełniła oczekiwań. Obawiali się, że następne dziecko będzie takie samo.

- Co stało się z twoim bratem? - spytał Boone.

Odetchnęła z ulgą. Ten temat był bezpieczniejszy. O własnych wadach wolała nie mówić. Lepiej niech Boone uważają za stukniętą, niż gdyby miał się dowiedzieć, jak bardzo zawiodła przybranych rodziców.

- Pewnie adoptowało go inne małżeństwo - oświadczyła. - W tamtych czasach agencje do spraw adopcji rozłączały rodzeństwa. Nic nigdy nie słyszałam o moim bracie. Nie wiem, co się z nim dzieje.



Lucy odważyła się podnieść wzrok i spojrzeć na Boone'a. Wyglądał tak, jakby intensywnie o czymś myślał. Podważał wiarygodność zasłyszanego opowiadania czy też zastanawiał się nad jakimiś własnymi sprawami? Lucy nie była w stanie tego odgadnąć.

- Czy kiedyś nosiłaś się z zamiarem wynajęcia prywatnego detektywa? - zapytał. - Albo zgłoszenia się do jednej z agencji poszukujących ludzi rozłączonych jako dzieci w wyniku adopcji?

Lucy spuściła głowę.

- Tak, chodziło mi to po głowie.

- Zrobiłaś coś w tej sprawie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo... bo co by było, gdybym odnalazła brata lub nawet moich naturalnych rodziców, a oni by nie...

- Co: nie?

- A oni by mnie nie chcieli znać - wydusiła z trudem.

Boone nie wiedział, co powiedzieć. Nie zechcieliby Lucy?

Nie mógł tego pojąć. On sam zechciał ją, gdy tylko zapukała do jego drzwi. No, może nie na członka rodziny ani nie na zawsze. Ale myśl, że ktoś odrzuciłby Lucy, była nie do pojęcia.

Nie mogąc się powstrzymać, wypowiedział na głos nurtujące go pytanie:

- Dlaczego mieliby nie chcieć cię znać?

Od dłuższej chwili Lucy siedziała ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Milczała. Boone'a zdziwiła jej reakcja. Była zagadkowa. Nie mógł wymyślić żadnego powodu, dla którego ktoś mógłby nie zechcieć takiej kobiety jak ona. No, znał jednego faceta, który bez przerwy powtarzał, że by sobie poszła.

Odpędził od siebie tę myśl. Była niedorzeczna. Lucy z pewnością nie wzięła za awersję do własnej osoby jego oczywistej potrzeby samotności. A może wszystkim ludziom, którzy przeżyli adopcję, towarzyszyło





ciągle przeświadczenie, że nikt ich nie chce? Ale on o tym nie wiedział i nie mógłby wiedzieć, bo skąd? Do licha, po co zaprzętał sobie głowę takimi problemami? Nie było żadnego powodu, dla którego miałyby go interesować sprawy Lucy Dolan.

Westchnął, pochylił się i oparł łokcie na stole.

- To mało prawdopodobne, żeby rodzina cię nie zechciała - oświadczył łagodnym tonem.

Lucy przez chwilę rozważała słowa Boone'a, ale gdy się odezwała, mówiła raczej do siebie:

- Jest jeszcze przedziwna wizja co roku w dniu urodzin - powiedziała spokojnie.

- Jaka wizja?

- Właściwie odczucie. Przekonanie, że ktoś myśli o mnie i pragnie nawiązać ze mną kontakt.

- Co takiego?

Lucy nie była w stanie już dłużej znieść narastającego napięcia. Poderwała się zza stołu i zaczęła sprzątać talerze. Zaniosiła je do zlewu. Potem zajęła się sztućcami i resztą naczyń. Odkręciła kran i zabrała się do zmywania. Dopiero wtedy wróciła do pytania Boone'a.

- Nie umiem opisać tego wrażenia - powiedziała. - Co roku w dniu urodzin, po południu, mniej więcej przez pół godziny ogarnia mnie przeświadczenie, że gdzieś daleko istnieje ktoś, kto myśli o mnie. Zastanawia się, co ze mną się dzieje. Martwi się o mnie. Przychodzi mi wtedy na myśl tylko jedno. Że to mój brat usiłuje jakoś do mnie dotrzeć. Czy to ma jakiś sens?

To ma sens, uznał Boone. Lucy zakręciła kran.

- Dzisiaj odczucie to było silniejsze niż zwykle. Tak jakby odległość między nami zmniejszyła się.

Dopiero po paru chwilach dotarło do Boone'a pełne znaczenie słów Lucy.



- Dziś są twoje urodziny? - zapytał.

Skinęła głową. Nadal była zaprzątnięta własnymi myślami.

- Tak. I przez całe popołudnie...

- Dzisiaj? - powtórzył.

Ocknęła się jak z transu. Popatrzyła na Boone'a tak, jakby ujrzała go po raz pierwszy.

- Tak. Dzisiaj.

- Lucy...

- Co takiego?

Boone wstał od stołu, przeszedł przez kuchnię i zatrzymał się przy zlewie.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał.

- Co za różnica?

- Przecież to twoje urodziny.

- I co z tego?

- Powinnaś je świętować.

- Dlaczego miałabym to robić? Z czego się cieszyć? Przecież wszystko, co posiadałam, straciłam w pożarze.

Miała sporo racji, uznał Boone. Ale tym bardziej powinna się odprężyć, żeby choć na chwilę przestać myśleć o niedawnej tragedii.

- Ale... - zaczął.

- A poza tym nigdy nie obchodzę urodzin.

- Dlaczego?

Machnęła ręką i zabrała się do zmywania talerzy.

- Bo nie.

Boone dostrzegł, że Lucy sztywnieją ramiona. Miał ochotę podejść bliżej i pomóc jej się rozluźnić.

- Jak to?

- To nic ważnego.

- Ale...

- O co ci chodzi? - spytała niecierpliwie.

Podszedł blisko, zdjął ścierkę z wieszaka, a potem do sucha wytarł Lucy ręce.

- To ja powinienem przyrządzić dziś obiad dla jubilatki. A jeśli myślisz, że pozwolę ci zmywać, to grubo się mylisz.

- Jestem twoją niewolnicą przez cały miesiąc.

- Nie jesteś i nigdy nie będziesz.

- Ale...

- Lucy, posłuchaj mnie przez chwilę.

Ku zaskoczeniu Boone'a Lucy zamilkła, ale jej wzrok przenikał go do głębi. Z wrażenia zapomniał, co chciał powiedzieć. Stał nieruchomo i zastanawiał się, jak by to było, gdyby mógł często tak rozmawiać z tą kobietą i od czasu do czasu przypadkowo jej dotknąć.

Rzucił ścierkę na blat i mocno objął dłonie Lucy.

Skórę miała miękką i ciepłą. Zacisnęła palce na rękę Boone'a. Na jej policzki wystąpiły rumieńce. Rozchyliła wargi, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

Boone poczuł, jak bez reszty tonie w ogromnych, niebieskich oczach, i nagle przyszło mu na myśl, że już potrafiłby odpowiedzieć na wcześniejsze pytanie Lucy. Byłoby znacznie gorzej żyć, nie pragnąc już dłużej niczego, niż zakończyć bogate, pełne wrażeń życie. Gdyby nawet miał przy tym żałować jednej lub dwóch straconych okazji.

Boone zdał sobie sprawę z jeszcze jednej sprawy. Tak długo, jak Lucy Dolan będzie stąpała po ziemi, nie będzie musiał martwić się o to, aby żyć intensywnym, prawdziwym życiem, aby wykorzystać wszelkie stwarzane przez nie okazje. Dlatego, uznał, powinien najpierw wykorzystać tę szczególną sposobność, jaka właśnie się nadarzała.

Od rozmyślań przeszedł do czynów. Pochylił głowę i wargami dotknął ust Lucy. Podała mu się natychmiast, tak jakby nie była w stanie oprzeć się wzajemnemu przyciąganiu.

Pocałował ją lekko, trzy razy, a potem przesunął wargami po policzku aż do karku. Lucy westchnęła i odchyliła w tył głowę, odsłaniając



gładką szyję. Skorzystał z zaproszenia. Tej okazji też nie przepuścił.

Lucy pachniała węglowym grillem i dobrym mydłem. Na jej wargach poczuł smak wina. Był to przedsmak rozkoszy, jakich Boone odmawiał sobie od dawna. Teraz, gdy padły bariery wewnętrznych zakazów, pograżał się coraz bardziej w otchłani pożądania.

Żar pocałunku Boone'a niemal pozbawił Lucy przytomności. Przez jej ciało przeszła fala ognia. Gdy Boone opuścił ręce i objął ją w talii, żeby przyciągnąć do siebie, położyła mu dłonie na piersi. Palcami wyczuła szybki, nierówny puls. Zachwyciła ją elastyczność skóry i prężność mięśni. Dolną część bardzo męskiej twarzy pokrywał złocisty, szorstki, jednodniowy zarost. Podrażniał jej delikatną skórę, sprawiając nieoczekiwaną przyjemność.

Boone potarł policzkiem o szyję Lucy, równocześnie głaszcząc jej ramiona. Jęknęła bezwiednie. Odgłos ten musiał uprzytomnić mu narastające w niej pożądanie, gdyż wrócił ustami do miękkich warg i zaczął je namiętnie całować.

Lucy wsunęła palce we włosy Boone'a i przyciągnęła do siebie jego głowę. Męskie usta stawały się coraz gorętsze, coraz bardziej wymagające i coraz bardziej żarłoczne. Odwzajemniła pocałunek z taką namiętnością, jakiej się nie spodziewał. Przekraczała jego własną.

Ze zdwojoną siłą wpił się w miękkie wargi. Poczuli nagły ból. Szarpnęła w tył głowę.

- Och! -jęknęła, gdyż Boone rozgniół jej skaleczoną dolną wargę.  
-Och...

Cofnął się, przeklinając własną niedelikatność. Oprzytomniał. Błyskawicznie wziął się w garść. Oparł dłonie na biodrach. Był teraz tak spięty, że gdyby Lucy chciała, mogłaby wyczuć palcami każdy mięsień na jego ramieniu. Postawa Boone'a nie zachęcała jednak do takich gestów. Wyglądał tak, jakby nagle obwarował się grubym murem, bez jakiegokolwiek dostępu.



Lucy skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła rozcierać ramiona, tak jakby przeniknął ją chłód bijący od stojącego przed nią mężczyzny.

- Boone?

Usłyszawszy swoje imię, zeszywniał jeszcze bardziej. Milczał. Lucy spróbowała ponownie.

- Boone, ja...

- Z pewnością musisz już iść - oznajmił kategorycznym tonem. Z jego oczu bił chłód.

Wiedział, że Lucy nie ma dokąd pójść. Mimo to skinęła potakująco głową. Przyłożyła do ust dwa palce i zagwizdała na Macka. Po chwili duży kot wsunął się bezszelestnie do kuchni. Staął, wygiął grzbiet, a potem usiadł na tylnych łapach i zaczął przyglądać się Boone'owi, tak jakby domagając się wyjaśnień, co tu, u licha, właściwie się dzieje.

- Przepraszam - szepnęła Lucy. Nie powiedziała nic więcej.

Pan domu popatrzył najpierw na kota, a potem na stojącą

przed nim kobietę. Widział, jak gaśnie i zamyka się w sobie. Milczał. Nie stać go było na żadną inną reakcję. Później, gdy zostanie sam, będzie mógł przemyśleć spokojnie, co się właściwie stało, i uporządkować doznania. Wtedy usprawiedliwi się przed sobą. Znajdzie też uzasadnienie, dlaczego taka sytuacja już nigdy więcej nie może się powtórzyć. Na razie powinien koniecznie zapewnić tę kobietę, że między nimi nic szczególnego nie zaszło.

A czy w ogóle coś się stało? zapytywał sam siebie. Odpowiedź na to pytanie także odłożył na później.

- Nie przejmuj się tym, co się wydarzyło - odezwał się wreszcie. Miał nadzieję, że jego głos brzmi spokojnie i nie odzwierciedla wewnętrznego poruszenia. - Był to tylko urodzinowy całus. Taki sobie... zupełnie niewinny. Nic więcej. - Było to gigantyczne kłamstwo i Boone świetnie zdawał sobie z tego sprawę.



Lucy milczała.

- To był mały... - zaczął znowu, ale szybko pojął, że nie ma sensu dodawać nic więcej. Odchrząknął głośno i niezbyt składną odpowiedź zakończył niepewnie: - Lucy, życzę ci wszystkiego najlepszego w dniu twoich urodzin.

Widział, jak ze zdziwienia rozszerzyły się jej oczy, gdy usłyszała, że to, co zaszło przed chwilą między nimi, było nic nie znaczącym, zdawkowym uściskiem. Nie odezwała się jednak ani słowem, nie kwestionując słabiutkiej, bezsensownej wymówki Boone'a. Stała nadal nieruchomo, wpatrując się w niego ogromnymi, niebieskimi oczyma. Z każdą sekundą czuł się coraz gorzej. Jak ostatni łajdak.

Mógłby powiedzieć wiele, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób się do tego zabrać. Jak miałby rozmawiać o tym, co stało się przed chwilą, skoro sam tego nie pojmował? Między nim a Lucy zapłonął jakiś ogień, który nie miał chyba zamiaru zgasnąć. Boone uznał, że musi wziąć sprawę w swoje ręce. Do niego należy zadbanie, aby pożar dalej się nie rozprzestrzenił.

Nagle Boone zapragnął odczytać myśli Lucy. Szybko jednak uznał, że to kiepski pomysł. Nie powinien wiedzieć, co kłębi się teraz w jej głowie. Pewnie też nie miała pojęcia, co sądzić o powstałej sytuacji.

Jeśli chodzi o Macka, sprawa była prosta. Boone świetnie wiedział, o czym myśli wielki kocur. Zwinięty w kłębek leżał teraz na podłodze i udawał, że śpi. Ale gdy tylko zobaczył, że Boone mu się przygląda, natychmiast wstał i zaczął ocierać się o nogi Lucy. Wzięła go na ręce i przytuliła do siebie. Teraz Mack zdawał się mówić do Boone'a:

- Co, stary, chciałbyś być na moim miejscu? Pewnie, że tak. Nic z tego nie będzie. Nigdy.

A czy ja sam o tym nie wiem? pomyślał Boone. Czy ja o tym nie wiem?

Lucy ruszyła do drzwi. Rzuciła Boone'owi przez ramię krótkie, po-



żegnalne spojrzenie. Nadal stał nieruchomo. W jego ciele nie drgnął ani jeden mięsień.

- Mogę zostawić grill? - spytała cicho. - Nie mam go dokąd zabrać...

- Możesz - mruknął Boone. - Dobranoc, Lucy.

- Jeśli chcesz, mogłabym...

- Dobranoc - powtórzył z naciskiem.

Skinęła głową i szybko skierowała się do wyjścia.

W kabinie półciężarówki umieściła Macka w specjalnych szelkach na siedzeniu pasażera i zapięła pas bezpieczeństwa. Potem ulokowała się za kierownicą i włączyła silnik. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem dom Boone'a. Był to stary budynek z czerwonej cegły. Wymagający gruntownego remontu. Sam dach...

Palce Lucy znieruchomiały na kluczyku, gdy przyszła jej do głowy nowa myśl. Na pierwszy rzut oka pomysł wydawał się świetny, a robota w sam raz dla niej. Wprowadzenie go w czyn oznaczałoby długotrwałe spłacanie Boone'owi zaciągniętego u niego długu wdzięczności.

Wycofała samochód z podjazdu i ruszyła w drogę. Zadowolona, zaczęła układać w myśli plan działania. Jutro cały dzień spędzi przy swojej zwykłej pracy, ale pojutrze będzie miała wolne.

Wszystko powinno się udać. Pójść jak z płatka. Pod jednym wszakże warunkiem.

Że nie da się przyłapać Boone'owi na gorącym uczynku.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Po wypędzeniu z domu Lucy Dolan, przez dwie następne noce mężczyły Boone'a erotyczne sny, w których ta kobieta odgrywała główną rolę. Czemu, u licha, spotykało go coś tak idiotycznego? zastanawiał się każdego ranka. Czy był to skutek długotrwałej samotności?

Nadal jednak gdy tylko przypomniiał sobie muśnięcie biustu Lucy o własną pierś, dotknięcie jej ręki na włosach i kurczowe zaciśnięcie palców, kiedy całował ją w kark, i gdy pomyślał o niepokojach, rozterkach, namiętnościach i wewnętrznym ogniu tej kobiety, znów ogarniało go podniecenie.

Zagryzł wargi, odetchnął głęboko i nakazał swemu ciału, żeby zachowywało się przyzwoicie. Budzenie się w takim stanie było rzeczą okropną. Ale budzenie się i słyszenie równomiernego dudnienia w rytmie niemal identycznym jak stosunku z kobietą, było po stokroć gorsze. Nie do zniesienia.

Upłynęło parę chwil, zanim Boone uprzytomnił sobie, że oprócz dudnienia, które wyrwało go ze snu, słyszy jeszcze jakieś inne dziwne odgłosy. Dochodziły znad sufitu sypialni. Przez chwilę, jeszcze nie do końca rozbudzony, sądził, że to ciąg dalszy snu. Dźwięki, które docierały do jego uszu, były niezwykle.

Oprzytomniawszy, natychmiast jednak nabrał podejrzeń. Był przekonany, że to znów Lucy Dolan sprawiła, że nie mógł przyzwoicie się wyspać. Zrezygnowany, podniósł się z łóżka. Przesunął palcami po włosach. Włożył flanelową koszulę, której na wet nie pofatygował się





zapiąć, oraz wciągnął spodnie od dresu i wysokie buty. Jeszcze raz westchnął głęboko i zszedł po schodach. Dotarł do frontowych drzwi.

Przed domem oślepiło go jaskrawe słońce. Zaklął szpetnie i rękoma zasłonił twarz. Nie znosił wczesnego wstawania. Po chwili zmusił się do otwarcia oczu. Rozejrzał się wokół. Podszedł do rosnących obok krzaków, zadarł głowę i popatrzył w górę, na dom. Jeszcze raz musiał przetrzeć oczy, żeby się upewnić, że to, co widzi, dzieje się naprawdę.

Na krawędzi dachu, skąpiana w różowożółtym blasku wczesnego poranka, tkwiła Lucy Dolan. Ubrana była ponownie w workowate spodnie, o parę rozmiarów dla niej za duże, i rozciągniętą czerwoną bluzę od dresu, a na nogach miała zniszczone robocze i ciężkie buty. Była tak zajęta pracą, że nie zauważyła pojawienia się pana domu. Sprawnie i metodycznie, z dużą wprawą, zdejmowała dachówki.

- Lucy! - zawołał Boone.

Widocznie nie usłyszała, bo nawet nie drgnęła. Pracowała nadal.

- Lucy! - powtórzył głośnie. Nadal nie reagowała na wołanie.

- Do licha - warknął rozeźlony Boone.

Mrucząc coś pod nosem, ruszył w stronę drabiny ustawionej przy narożniku domu. Wspiął się po niej, by móc objąć wzrokiem fragment dachu, na którym znajdowała się Lucy. Zły był na siebie, że wszedł tak wysoko, gdyż z tego miejsca miał doskonały widok na dolną i tylną część jej ciała. Mimo zbyt obszernego ubrania, wyglądała niezwykle pociągająco.

Boone poczuł przyływ pożądania.

Zamknął oczy i usiłował odpędzić zdrożne myśli.

- Lucy! - krzyknął, tym razem bardzo głośno.

Zakołysała się nagle, a Boone się wystraszył, iż spadnie z dachu. Szybko jednak odzyskała równowagę. Mroźne poranne powietrze zaczerwieniło



jej policzki i czubek nosa. Przy szybkim oddechu z ust Lucy wydobywała się para.

Z taką wprawą klapnęła na dachu na pupę, że Boone uznał, iż musiała już nieraz pracować w takich warunkach. Rękawem przetarła czoło spocone mimo chłodu i niechętnym wzrokiem zmierzyła intruza na drabinie.

- Nie wiedziałam, że jesteś w domu - oznajmiła na powitanie. Odwzajemnił się nieprzychylnym spojrzeniem.

- Tak właśnie myślałem - mruknął pod nosem. Wykazała nieco przyzwoitości, gdyż się zaczerwieniła.

- Byłam przekonana, że masz dyżur w remizie. Przecież wy, strażacy, pracujecie na czterdziestoosmiodzinne zmiany.

Musiała się dowiadywać, uznał Boone.

- Mam dyżur przez dwadzieścia cztery godziny, a potem dwie doby wolnego.

- Och, a ja myślałam, że pracujecie i odpoczywacie po tyle samo godzin.

- I dlatego sądziłaś, że tu się wkradniesz bez mojej wiedzy?

Bezwstydnie kiwnęła potakująco głową.

- A poza tym przestań tak głośno wrzeszczeć - upomniała Boone'a. - Słyszałam cię od samego początku.

- To dlaczego się nie odzywałaś?

- Bo wiedziałam, co mi powiesz.

- To znaczy?

Parodiując Boone'a, oznajmiła grubym głosem:

- Lucy, masz natychmiast zejść na dół.

Mimo woli się uśmiechnął.

- No, powiedziałbym coś takiego. Dorzuciłbym jeszcze jakieś przekleństwo.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- A widzisz? Nie trzeba było włączyć na drabinę.

- O, teraz się mylisz - oświadczył Boone. - Lucy, masz natychmiast zejść.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie zejde, dopóki nie skończę pracy przewidzianej na dziś.

- Czego nie skończysz?

- Kładzenia nowego dachu. Boone zeszywniał.

- Co takiego? - warknął.

Lucy zasłoniła się od słońca jakimś dekarским narzędziem przypominającym łopatkę i popatrzyła na Boone'a.

- Odjeżdżając ostatnio spod twojego domu, zobaczyłam, że dach jest w kiepskim stanie. Chyba nie odpowiada normom bezpieczeństwa. Od ilu lat nie było zmieniane pokrycie? Od trzydziestu?

- Nie mam pojęcia - oświadczył Boone.

- Możesz mi wierzyć, że było to bardzo dawno. Zbyt dawno.

- Wobec tego wezwę dekarza, który wykona tę robotę. Lucy obdarzyła Boone'a promiennym uśmiechem.

- Już masz dekarza, który wykonuje tę robotę.

- Mam?

- Tak. Niewolnica naprawi twój dach. I nawet nie poniesiesz kosztów materiałów. - Lucy wzruszyła ramionami. - Znam faceta, który odstąpi mi je za półdarmo.

Boone'a zamurowało. Nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył na Lucy w milczeniu.

- Sądzę, że całą robotę wykonam w dwa dni, najwyżej w trzy - ciągnęła. - A potem zajmę się tym, co mi polecisz.

- Chwileczkę - odezwał się Boone, odzyskawszy wreszcie głos. - Zamierzasz kłaść nowy dach na moim domu?

Uśmiechnęła się. Skinęła głową.

- Sądziłam, że już ci to wyjaśniłam.

- Sama?

Znów skinęła głową.

- Przepraszam, że to mówię, ale dla jednej osoby, takiej jak ty, to chyba zbyt duże przedsięwzięcie.



- Wcale nie - zaprotestowała. - Tej wielkości dach kładziemy zwykle w trójkę lub czwórkę i cała robota trwa na ogół tylko jeden dzień. Mnie samej zajmie to trochę więcej czasu.

- Co powie twój szef na to, że dziś wagarujesz?

- Nic. Sezon prac budowlanych już się kończy. Roboty jest coraz mniej. A poza tym mam sporo nie wykorzystanego urlopu.

Boone'owi nie pozostało nic innego, jak tylko przyglądać się kobiecie, która w najlepsze rozsiadła się na jego dachu. Z jakiegoś powodu zajęcie, które wykonywała, wydawało się do niej pasować. Od chwili gdy ją poznał, Lucy ani razu nie postąpiła zgodnie z jego oczekiwaniami. Bez przerwy go zaskakiwała. Dlaczego miałyby więc wykonywać jakiś zawód typowy dla kobiety? Nie byłby wcale zdziwiony, gdyby oznajmiła, że w cyrku zajmuje się poskramianiem krokodyli.

- Rozumiem - mruknął po dłuższej chwili.

- A więc idź sobie stąd i pozwól mi spokojnie pracować - powiedziała, rzucając mu krótkie spojrzenie.

Żartobliwym gestem czubkiem buta dotknęła dłoni Boone'a, rozplaszczoną na krawędzi dachu. Bezwiednie zacisnął palce wokół cholewki jej buta. Skóra była wytarta i miękka, tak że bez trudu wyczuł kształt łydki. Zanim zorientował się, co robi, przez but zaczął głaskać nogę Lucy. Coraz wyżej i wyżej. Wreszcie wsunął dłoń w nogawkę roboczych spodni.

- Boone...

Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak niecodziennie w ustach Lucy brzmi jego imię. Podobał mu się sposób, w jaki je wymawiała. Czyniła to miękko, powoli i niepewnie. I chociaż w jej głosie nie wyczuł nakazu przerwania tego, co robił, jakoś udało mu się zatrzymać dłoń w miejscu, w którym z butów wystawały grube, wełniane skarpety. Zanim dotknął obnażonej skóry. Zanim odkrył, jak była gładka.

Spojrzał na twarz Lucy. Zobaczył, że mu się przygląda. Wyraz zmieszania, a zarazem podniecenia, zastąpił słaby uśmiech. Gdy Boone nadal



nie puszczał jej nogi, sama usiłowała ją uwolnić z uchwytu męskich palców.

- Puść - poprosiła.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie chciał odsunąć się teraz od Lucy. Pragnął coś powiedzieć, nawiązać do pocałunku, który poprzedniego wieczoru wymienili w kuchni. Chciał zapytać, dlaczego do niego doszło. I zapewnić, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Sądził, że Lucy też chętnie zadałaby mu parę pytań dotyczących wczorajszego incydentu. Nie potrafił wyjaśnić własnych wątpliwości, a co dopiero odpowiedzieć na jej pytania.

- Lucy... - zaczął.

Zamilkł na widok wyrazu jej twarzy. Spoglądała na niego otwarcie, wzrokiem pełnym nadziei, a zarazem smutku. Wydawało mu się, że jest przestraszona. Westchnął i przeciągnął palcami po zwichrzonych włosach. Miał przed sobą kobietę, która pragnęła zapomnieć o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru. Wyglądała tak, jakby błagała go w myślach, aby nie wszczynał żadnej rozmowy na ten temat.

- Lucy - po chwili powtórzył spokojnie. - Musisz natychmiast zejść na dół.

Wyraz jej twarzy błyskawicznie się zmienił.

- Ale...

- Na moim domu nie będziesz kładła nowego dachu.

- Ale, Boone...

- Schodź wreszcie.

Z głosu Boone'a musiała wywnioskować, że nie dopuści do żadnej dyskusji. Zmierzyła go nieprzychylnym wzrokiem, westchnęła i z rozczarowaniem malującym się na twarzy zaczęła przesuwać się w stronę zrębu dachu, gdzie na nią czekał.

- Nie znosisz na dół narzędzi? - zapytał.

- Później się tym zajmę.

- Byłoby lepiej zabrać je od razu.

- Niech sobie tam leżą.



Przez parę chwil tkwili w bezruchu, tak jakby każde z nich oceniało siły przeciwnika. Wreszcie Boone poddał się i powoli zaczął schodzić z drabiny. Jeśli ta kobieta myśli, że podczas jego nieobecności uda się jej wrócić na dach i dokończyć robotę, to grubo się myli. Gdy tylko znajdą się na ziemi, on pójdzie do kuchni, sięgnie po książkę telefoniczną, w dziale „Usługi” odszuka numer jakiegoś dekarza i od razu zleci mu tę robotę.

Kiedy Boone zszedł z ostatniego szczebla drabiny, nagle o czymś sobie przypomniał. Rozejrzał się dokoła.

- Lucy, a gdzie jest twój kot? - zapytał, nie widząc nigdzie w pobliżu groźnej bestii.

- Został dziś w motelu - odparła. - Kierowniczka chce się przekonać, czy Mack zdziała coś w sprawie myszy, które rozpanoszyły się w magazynie.

Boone skinął głową, lecz nie uspokoił się do końca.

- A potem może mógłby zdziałać coś w sprawie wrednego buldoga, stale urzędującego obok złomowiska - mruknął pod nosem.

- Mówiłeś coś?

- Nie.

Mimo zapewnień ze strony Lucy, że Mack to zwierzę niezwykle łagodne, w obecności tego kota z piekła rodem Boone nie był wcale pewny swego bezpieczeństwa. Wcale by się nie zdziwił, widząc, jak Mack ukrywa się w gęstwinie pobliskich krzaków i tylko czyha, żeby załatwić go na dobre.

Boone zeskoczył na ziemię. Stał u stóp drabiny i przytrzymał ją dla Lucy. Jego spojrzenie powędrowało bezwiednie w górę. Na widok rytmicznego ruchu damskich pośladków, gdy z jednego szczebla schodziła na drugi, nerwowo przełknął ślinę.

Nie mógł się nadziwić jednemu. Jak kobieta ubrana w okropny robotczy strój może wyglądać tak ponętnie? Był wykończony fizycznie. Fatalnie spał od kilku nocy. Najpierw gasił pożar, a potem nękały go sny o Lucy Dolan. Dlatego widocznie ma teraz halucynacje. Nie mógł



bowiem zrozumieć powodu, dla którego kobieta taka jak ona oddziaływała na jego wyobraźnię i poruszyła wszystkie zmysły.

Bez słowa wskazał Lucy drogę do domu. Posłusznie wysunęła się na przód. Kiedy znaleźli się w kuchni, wziął do ręki książkę telefoniczną i zaczął przewracać kartki. Odszukał numery dekarzy.

Lucy stanęła za plecami Boone'a. Zajrzała mu przez ramię.

- Zadzwoń do fomy „Dachy Magillacuddy'ego” - poradziła. - Don Magillacuddy zatrudnił mnie, podczas gdy we wszystkich innych firmach uznano, że nie podołam tej robocie. Jestem mu za to bardzo wdzięczna. To przyzwoity facet.

Rekomendacja wystarczyła Boone'owi. Zadzwoił. Usłyszawszy rozpiętość cen za tego rodzaju usługę, uznał, że są do przyjęcia. Firma nie zedrze z niego skóry. Omówił sprawę, odwiesił słuchawkę i odwrócił się do Lucy.

- Zjawią się dziś po południu - oznajmił. - Twierdzą, że ta robota powinna zająć im jeden dzień, najwyżej dwa. Mają teraz mało zleceń, więc chyba będą mogli od razu przystąpić do pracy. Coś mi się zdaje, że w wolnym czasie nie będziesz robiła mi nowego dachu - dodał, z trudem ukrywając satysfakcję.

- Chyba nie - odparła zrezygnowana.

Boone zerknął na Lucy. W jego oczach zapaliły się złote iskierki. Nic więcej nie mówiąc, uśmiechnął się pod nosem.

- Będę więc musiała wynaleźć inny sposób spłacenia ci długu - oznajmiła po krótkiej przerwie. Zobaczyła, że uśmiech na twarzy Boone'a nagle zgasł. - Nic nie szkodzi - dodała. - Mam całe mnóstwo nowych pomysłów.

Dopiero wtedy dotarło do Boone'a, że jego przeciwniczka jest znacznie przebieglejsza, niż początkowo sądził. Jak widać, Lucy Dolan zamierzała się zrewanżować za ocalenie własnego i kociego życia, bez względu na to, czy życzył sobie tego, czy nie. Złożyła taką obietnicę.



Jego samopoczucie nieco się poprawiło. A więc przyrzekła. Oznaczało to, że ze swego zobowiązania nigdy się nie wywiąże. Jak to się mówi? Obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Przyrzeczenia są tylko po to, żeby je składać. Nie dotrzymuje ich nikt. Przypominają komunizm. Są piękne w teorii, lecz całkowicie nierealistyczne w praktyce.

Przez całe życie Boone nasłuchiwał się wielu różnych obietnic. I nigdy żadna z nich nie doczekała się realizacji. Jego rodzice byli alkoholikami. W krótkich i rzadkich okresach trzeźwości jedynemu synowi obiecywali wiele.

- W piątek wybierzemy się na mecz - mówił ojciec. - A potem będziemy budować statek w butelce. W sobotę pojedziemy na ryby. Całą niedzielę spędzimy razem. Tylko ty i ja. Obiecuję ci to, synu. Obiecuję solennie.

Matka, gdy była przytomna, też przyrzekała Boone'owi przeróżne rzeczy.

- Po kolacji, złotko, pomogę ci odrobić lekcje. Jasne, że możemy iść na ten film, który tak bardzo masz ochotę obejrzeć.

Oczywiście, możesz zapisać się do harcerstwa. Chcesz brać lekcje gry na bębnie? To żaden problem. Obiecuję, że zapiszę cię na nie. Obiecuję.

I zaraz potem zarówno ojciec, jak i matka, znów sięgali po kieliszek i zapominali o wszystkich przyrzeczeniach dawanych synkowi. Nie było wypadu na mecz ani wyprawy na ryby. Boone nie wstąpił do harcerstwa ani nie brał lekcji gry na bębnie. Były tylko przyrzeczenia przez rodziców nie dotrzymywane.

A potem pojawiła się Genevieve ze swymi obietnicami, przypomniał sobie Boone. Ta kobieta stała się jedyną miłością jego życia. Pamięć o składanych przez nią obietnicach była jeszcze tak żywa i bolesna, że nie potrafił o nich spokojnie myśleć.

Jednym słowem, miał już obietnic po dziurki w nosie. Jego życiowy limit dawno się wyczerpał. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował bądź pragnął, były następne oszukańcze przyrzeczenia. Już dłużej nie chciał





być okłamywany przez nikogo. Zwłaszcza przez kogoś takiego jak Lucy Dolan.

Westchnął głęboko i popatrzył w jej szeroko rozwarte, cudowne oczy pełne nadziei i pragnienia bycia potrzebną. Westchnął ponownie. Już nigdy nie chciał być okłamywany.

Zwłaszcza przez kogoś takiego jak Lucy Dolan.

Boone zamknął książkę telefoniczną i odłożył ją na miejsce. Och, ci mężczyźni, pomyślała Lucy z głębokim westchnieniem. Kto potrafi ich zrozumieć? Bez względu na to, co nimi kieruje, i abstrahując od powstałych okoliczności, łączy ich jedna rzecz. Męskie postępowanie jest pozbawione logiki.

Jej były mąż, człowiek najbardziej wymagający i największy mal-kontent, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia, w żadnym razie nie zasługiwał na wyjątkowe traktowanie. Mimo to jednak bez przerwy usi-łowała tak właśnie się z nim obchodzić. I czym jej odpłacił? Wyrzucił ją za drzwi i zastąpił inną kobietą.

Hank Dolan był mężczyzną, który zawsze chciał mieć wszystko i który nigdy nie był z niczego zadowolony. Uprzytomnienie sobie tego faktu zajęło Lucy wiele czasu. Dostała od życia surową lekcję. Pewnie nigdy nie będzie potrafiła jej zapomnieć.

Teraz miała przed sobą Boone'a Cagneya. Mężczyznę, który zapew-niał, że niczego od niej nie chce, lecz który zasługiwał na wszystko, co była w stanie mu ofiarować. I chociaż pod każdym względem był abso-lutnym przeciwieństwem jej byłego męża, ich obu łączyło jedno. Nielo-giczne i niepojęte postępowanie.

Lucy wiedziała, że nawet milion lat nie wystarczyłoby jej, aby zrozu-mieć, o co chodzi mężczyznom.

Boone nie zgodził się, żeby położyła mu nowy dach. W porządku, miał do tego pełne prawo. Pozostawało wiele innych sposobów spłace-nia długu wdzięczności.

Lucy przyglądała mu się, jak otwiera lodówkę, wyjmując puszkę ka-



wy, a potem idzie na drugi koniec kuchni i uruchamia ekspres.

- Możesz się napić - oznajmił wspaniałomyślnie. - Żeby się rozgrzać. Zaraz potem będziesz musiała jechać do do... - Zły na siebie, ugryzł się w język - wrócić do motelu.

Uśmiechnęła się sztucznie, ale tego nawet nie dostrzegł. Postanowił w ogóle jej nie zauważać. Lucy jednak nie wytrzymała.

- Hej, Boone, jeśli jeszcze dłużej będziesz ze mną tak miło rozmawiał, całkiem zawrócisz mi w głowie - zażartowała.

Zagryzł zęby. Nawet nie próbował się uśmiechnąć.

- Do tej pory zdołałaś już trzykrotnie wyrwać mnie ze snu - wypomniał z wyrzutem w głosie. - Ciesz się, że tak uprzejmie z tobą rozmawiam. Nie jestem w dobrym nastroju, więc daj mi spokój. Przestań mnie prowokować.

- Naprawdę wstawiałeś przeze mnie? - spytała z udawanym niepokojem. - Czemu od razu nie powiedziałeś? Ze względu na mnie w żadnym razie nie musisz być na nogach. Wracaj do łóżka. Mną się nie przejmuj. Z pewnością wynajdę tu sobie jakieś pożyteczne zajęcie.

Zmierzył ją surowym wzrokiem.

- Tego się właśnie obawiam.

- Będę zachowywała się cichutko - obiecała słodkim jak miód głosem.

Boone skrzyżował ręce na piersi, co w oczach Lucy wyglądało na obronny gest.

- Co zamierzasz robić? - ze złością wyrzucił z siebie pytanie. - Myć okna? Pastować podłogi?

Wzruszyła ramionami.

- Od tego mogę zacząć.

- Lucy, ile razy mam powtarzać, że nie chcę, abyś dla mnie pracowała?

- Ale...



- Nie chcę, żebyś myła mój samochód - ciągnął. - Ani grabiła liście. I nie życzę sobie żadnych zakupów.

- Ale...

- Nie chcę, żebyś, jadąc do pracy, przywoziła mi śniadanie i nie chcę jeść przygotowanej przez ciebie kolacji.

- Ale...

- I, do diabła, nie chcę, żebyś zajmowała się moim dachem.

- Ale ja przecież muszę coś robić.

Znów przesunął palcami po włosach. W jego oczach malował się gniew.

- Czy nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - warknął ze złością.

Lucy pokręciła głową. Nadal nie pojmowała, skąd u Boone'a bierze się taka animozja w stosunku do jej osoby. Milczała.

- Nie życzę sobie oglądać cię w moim domu - dorzucił. - Ani na podwórzu, ani na dachu. Nigdzie. - Zatrzymał się na chwilę, a potem powiedział spokojniejszym tonem: - Lucy, zrozum wreszcie, że cię nie chcę. Koniec. Kropka.

Wybuchem Boone'a specjalnie się nie przejęła. Przecież była nie chciana przez całe życie. Od dnia narodzenia. Najpierw pozbyli się jej naturalni rodzice. Jako niemowlaka oddali do adopcji.

Potem ludzie, którzy malutką Lucy przyjęli pod swój dach, też przestali ją lubić, gdyż zawiodła pokładane w niej nadzieje.

Bezustannie powtarzali, że ich własne dzieci, gdyby mogli je mieć, byłyby zupełnie inne. Bardziej do nich podobne, spełniałyby wszystkie oczekiwania.

Jeszcze później były mąż wyrzucił ją z domu, twierdząc, że jest do niczego. W gruncie rzeczy na dłuższą metę wyszło to jej na dobre, ale fakt pozostawał faktem.

Lucy nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego okresu w swoim życiu, w którym była komuś potrzebna. Dlatego przykre słowa Boone'a nie zraniły jej głęboko.



Martwił jednak inny fakt. To, że właśnie Boone tak się zachowywał i ją odtrącał.

Przypomniała sobie jego namiętne pocałunki. A może to ona całowała go tamtego wieczoru? Widząc teraz ponurą minę stojącego przed nią mężczyzny, za prawdziwą uznała drugą możliwość. Jako że był to dzień jej urodzin, poczuła nieprzewartą chęć zbliżenia się do innego człowieka. I pewnie dlatego przelała na Boone'a wszystkie swoje uczucia. On jej nie chciał, a ona go potrzebowała. Tak to musiało w rzeczywistości wyglądać.

Zamiast podobnym wybuchem zareagować na słowa Boone'a, z kamiennym spokojem popatrzyła mu w oczy.

- To mnie nie dziwi - powiedziała miękkim głosem. - Ale sprawa spłacenia długu pozostaje nadal aktualna. Obiecałam to zrobić. A ja zawsze...

- Wiem, wiem - przerwał jej zniecierpliwiony. W jego głosie przebiła zniechęcenie. - Zawsze spłacasz długi i zawsze dotrzymujesz przyrzeczeń. Czy o tym nadzwyczajnym fakcie mam powiadomić środki masowego przekazu? - spytał uszczypliwie.

Westchnął głęboko. Było mu wstyd własnego wybuchu. Lucy nie zasługiwała na kpiny i besztanie. Zupełnie nie wiedział, dlaczego nagle ogarnęła go złość na tę kobietę. Może dlatego, że przypomniał sobie Genevieve? Nie dawało mu to jednak żadnego prawa do przelewania na Lucy własnej goryczy. A chyba uczynił właśnie coś takiego.

Miał już jednak po dziurki w nosie jej oświadczeń, namolności i prób rewanżu za ocalenie piekielnego kota. Co jeszcze powinien uczynić, żeby wreszcie pozbyć się tej natarczywej kobiety?

Musiał coś zrobić. To było oczywiste. Im częściej ją widywał, tym bardziej go drażniła i głębiej zachodziła mu za skórę. A im głębiej zachodziła za skórę, tym trudniej było o niej potem zapomnieć. Musiał położyć kres tej nedorzecznej sytuacji.



Lucy ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Wydajesz mi się nie dowierzać.

- Tak właśnie jest.

- Uważasz, że cię oszukuję? - zapytała spokojnie. Boone nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Nie. Ludzie nagminnie kłamią i składają obietnice, mimo że wcale nie zamierzają ich spełnić. Sądzę jednak, że ty należysz do innej kategorii.

- Jakiej?

Wreszcie odważył się spojrzeć w stronę Lucy. Na jej twarzy zobaczył spustoszenie, jakiego dokonały jego cierpkie słowa. Była blada i niepokojna. Skuliła ramiona. Wyglądała tak, jakby przed chwilą otrzymała silny cios. W pewnym sensie tak właśnie się stało, przyznał w duchu Boone.

Westchnął głęboko. Jego głos miał teraz łagodniejsze brzmienie.

- Do kategorii ludzi mających mnóstwo dobrych intencji, ale nie zamierzających dotrzymać danego słowa.

- Oceniasz mnie aż tak źle? - spytała Lucy.

Boone skinął głową.

- Nie wyglądasz na człowieka, który okłamuje celowo. Ale jestem pewny, że podobnie jak większość ludzi nie potrafisz spełnić obietnicy.

Podniosła głowę. Ostрым spojrzeniem zmierzyła Boone'a.

- Jesteś pewny?

W jej oczach zobaczył iskiereki gniewu.

- Tak.

- Masz bardzo marną opinię o ludziach.

- Tak. Popartą bogatym doświadczeniem.

Lucy powoli pokiwała głową. Była zaskoczona reakcją Boone'a.

- Kto ci to zrobił? - spytała cicho.

- Kto mi co zrobił? - zażądał wyjaśnienia.



- Kto sprawił, że stałeś się tak zgorzkniały i nieufny? Boone roześmiał się niewesoło.

- Przyjaciele. Rodzina. Narzeczona. Wszyscy, jak leci. Lucy poczuła nagle ukłucie w sercu. A więc istniała inna kobieta, z którą się związał.

Inna kobieta, powtórzyła w myśli.

- Narzeczona? - Może tylko się przesłyszała. - Jesteś zaręczony? - zapytała Boone'a.

Zanim odpowiedział, odwrócił szybko wzrok.

- Byłem.

Na jego twarzy odmalował się wyraz bólu. Lucy wiedziała, co to oznacza. Nadal kochał kobietę, z którą był zaręczony. Powody rozstania nie miały znaczenia. Boone'owi nadal zależało na tej kobiecie. To, że nie było jej w pobliżu, nie miało wpływu na jego uczucia. Wciąż ją kochał.

Lucy stłumiła odruch zazdrości.

- Boone, mylisz się w ocenie ludzi - zapewniła zdecydowanym głosem. - Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Dotrzymuję obietnic. I zawsze tak postępowałam.

Prychnął z niedowierzaniem.

- Czyżby?

- Nadal mi nie wierzysz?

- Nie wierzę.

- Wobec tego pozwól, że ci to udowodnię.

Boone zorientował się nagle, że wpadł w pułapkę. Jakże łatwo Lucy obróciła przeciw niemu jego własne komentarze! Sam był winien kapitulacji. Do licha, jak mogło do tego dojść?

Westchnął głęboko. Czuł się zgnębiony i pokonany.

- A więc zamierzasz zostać tu dopóty, dopóki nie spłacisz mi tego kretyńskiego długu, istniejącego jedynie w twojej wyobraźni?

Skinęła energicznie głową.

Boone świetnie wiedział, że, bez względu na jego opór, ta kobieta zrobi, co zechce. Jeśli pragnął uratować trochę spokoju ducha towarzy-



szącego jego dotychczasowej egzystencji, powinien poddać się i pozwolić jej działać. Nie miał innego wyboru.

- W porządku - oznajmił: Godząc się na propozycję Lucy, czuł się dziwnie. - Poddaję się. Rób, co chcesz. Bądź moją niewolnicą. Ale pamiętaj, że po miesiącu znikasz z mego życia. Nieodwołalnie i na zawsze.

Widząc wyraz smutku na jej twarzy, Boone poczuł się głupio. Znow zranił uczucia tej kobiety. Bezmyślnie powiedział zbyt wiele.

Chwilę później przyszło mu na myśl, że to, iż Lucy niewłaściwie interpretuje powody, dla których on chce się jej pozbyć, jest dla niego korzystne. Lepiej, aby myślała, że jej nie lubi, niż wiedziała, iż jest wręcz przeciwnie.

Na myśl o dopiero co zawartej umowie aż jęknął w duchu. Do diabła, jak sobie poradzi? zastanawiał się, przestraszony. Jak uda się przeżyć cały miesiąc? Przecież ta kobieta z każdym dniem będzie coraz bardziej zachodziła mu za skórę, by w końcu nim zawładnąć!

Spojrzenie Boone'a przesunęło się w dół. Z twarzy Lucy na szyję, łagodnie opadające ramiona, piersi, których pełnego kształtu nie był w stanie ukryć nawet workowaty dres... Przypomniawszy sobie, w jaki sposób tamtej nocy w kuchni odchyliła głowę i jak zrobiła się bezwolna, gdy wziął ją w objęcia... Przypomniawszy sobie erotyczne sny, które dręczyły go nocami i w których oboje przeżywali nieziemskie wprost rozkosze... Gdy Boone pomyślał o tym wszystkim, w jego umyśle zrodziło się nowe pytanie.

Czy rzeczywiście musiał stwarzać między nimi aż taki dystans?

Tak, to jest konieczne, uznał. Wiązanie się z kobietą byłoby równoznaczne z samobójstwem. I to z kobietą pokroju Lucy Do-lan. Ładną, serdeczną i pełną uroku. Słaczącą długie i dotrzymującą przyrzeczeń. Jednym słowem, zbyt idealną, aby być prawdziwą. Taka kobieta go



zniszczy. Potrafi złamać mu serce. I z pewnością tego dokona.

Genevieve także była zbyt idealna, żeby być prawdziwa. Oczarowała Boone'a już w chwili poznania. Ładna, wesoła i pełna uroku. Taka jak Lucy Dolan. Miała wszystkie zalety, jakie wymarzył sobie u kobiety mającej stać się partnerką na całe życie. Kochał Genevieve tak bardzo, jak to tylko było możliwe.

A ona składała mu obietnice. Słyszał ich mnóstwo. Miała kochać go po wsze czasy. Stać się jego żoną. Wraz z nim założyć rodzinę. Obiecała, że już nigdy więcej nie będzie musiał być sam.

Dla człowieka pokroju Boone'a, samotnego przez całe życie i mającego rodziców, którzy, gdy był dzieckiem, nigdy nie dotrzymywali dawanych mu przyrzeczeń, obietnice narzeczonej były czymś wręcz cudownym. Plastrem na jego rany. Genevieve nie brała alkoholu do ust. I nigdy nie kłamała. Zawsze wykonywała zapowiedziane zadanie.

Kiedy oświadczyła Boone'owi, że go kocha, uwierzył.

I ufał jej aż do dnia ślubu. Zaproszeni goście przybyli punktualnie do kościoła. Wszyscy z wyjątkiem Genevieve i Connera, drużby pana młodego. Na samo wspomnienie tamtego koszmarnego dnia sprzed dwóch lat Boone'a znów przeszyły dreszcze. Przez pełne pięć godzin tkwił w kościele, licząc, że panna młoda i jego najlepszy przyjaciel jednak się stawią. Tak, jak mu to obiecali.

Kiedy zaproszeni goście poszli wreszcie do domu, Boone obdzwonił wszystkie szpitale i komisariaty policji. Sam czekał nadal w kościele. Przekonany, że Genevieve jednak się pojawi.

W nieskończoność czekał na nią i czekał.

Wreszcie zadzwonił do domu, żeby sprawdzić, czy tam nie pozostawiono dla niego jakiejś wiadomości. Do dziś się zastanawiał, dlaczego wtedy tak długo z tym zwlekał. Widocznie podświadomie obawiał się tego, co usłyszy.

Automatyczna sekretarka zarejestrowała telefon od Genevieve. Roz-





mowa została nagrana osiem minut przed zaplanowanym terminem ślubnej ceremonii.

Półprzytomny Boone wysłuchał łagodnego, delikatnego głosu ukochanej kobiety, która zawiadamiała, że go opuszcza, i wraz z Connerem udaje się na Barbados. Po upływie dwóch lat Boone nadal nie potrafił spokojnie myśleć o tamtej tragikomicznej historii.

Genevieve zniszczyła go nie tylko psychicznie, lecz także finansowo. Zatrzymała niezwykle kosztowny zaręczynowy pierścienek, na który w ogóle nie było go stać. Musiał więc się zapożyczyć. Zaciągnął też dług hipoteczny, którego z jednej pensji nie był potem w stanie spłacać. Wiele miesięcy zajęło mu wydobyć się z finansowych tarapatów. Harował jak wół. A ukochana narzeczona i najlepszy przyjaciel popłynęli sobie na jego koszt na z góry opłaconą wycieczkę na Antyle.

Genevieve odarła Boone'a ze wszystkiego. Z uczuć i z pieniędzy. Przrzekł sobie, że już nigdy więcej nie da się zwieść kobiecie miłej i serdecznej. Zbyt dobrej, aby być prawdziwą.

Takiej właśnie, jak Lucy Dolan.

Boone postanowił, że pozwoli jej popracować dla siebie. Ale tylko przez tydzień. Mimo iż obiecała pomagać mu przez cały miesiąc, po kilku dniach z pewnością się znuży i będzie miała dość. A on pozbędzie się jej na zawsze.

- Kiedy chcesz zacząć? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Wolalabym jak najszybciej. Mogę dziś?

W pierwszej chwili Boone zamierzał przystać na tę propozycję, lecz zaraz potem zmienił zdanie.

- Proponuję, abyś zaczęła w piątek - powiedział. Odetchnął z ulgą. Będzie miał jeszcze dwa dni spokoju. Lepiej niech Lucy zacznie kręcić się po domu wtedy, kiedy on będzie miał dyżur w remizie. - Masz dla siebie dwa dni - dodał. - Dobrze je wykorzystaj. Jedź od razu do mote-



lu. Jeśli masz być niewolnicą przez cały miesiąc, musisz teraz solidnie wypocząć.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz powstrzymał ją wyraz twarzy Boone'a. Był zdziwiony, że Lucy nie usiłuje wymusić na nim pozostania, nie proponuje mycia samochodu, pieczenia ciastek lub porządkowania bieżących rachunków. Oświadczyła tylko, że zabiera narzędzia i drabinę, a potem odwróciła się i bez słowa pożegnania opuściła kuchnię.

Kiedy usłyszał, jak zamykają się za nią frontowe drzwi, poczuł nagle ogromne rozczarowanie. Po raz pierwszy, odkąd poznał Lucy Dolan, ta kobieta zrobiła dokładnie to, o co poprosił.

Chyba naprawdę traktuje serio własne zobowiązanie i chce wykonać to, co sobie zamierzyła.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Mówiłeś, że ten kolor ci się podoba.

Lucy stała pośrodku gościnnego pokoju. W jednym ręku trzymała jeszcze wilgotny wałek malarski, a w drugim wzornik barw farby. Pod jej stopami leżała jedna z ogromnych płacht, którymi pokryła podłogę i wszystkie meble. Na tym tle sama była ledwie widoczna.

Przewiązała czoło poplamioną przepaską, a jej bawełniana koszulka była pochlapana farbą we wszystkich możliwych kolorach. Workowate, robocze portki zastąpiła tym razem brudnymi spodniami malarza. Wyglądała jak stuprocentowy fachowiec.

Farba, którą dopiero co pomalowała ściany w gościnnym pokoju, miała dziwną barwę. Na jej widok Boone zmarszczył czoło. Był zły na siebie, że ustąpił i pozwolił Lucy odnawiać dom.

- Różowy - mruknął z dezaprobatą. - Nigdy nie lubiłem tego koloru.
- Nie jest różowy - zaprotestowała Lucy. - To terakota.

Popatrzył na świeżo pomalowane ściany i skrzywił się jeszcze bardziej.

- Różowy.
- Terakota. - Lucy pokazała Boone'owi wzornik barw, który trzymała w ręku. - Przekonaj się sam.

Z niechęcią rzucił okiem na próbkę. Wczoraj rano, gdy Lucy zgłosiła się do pracy, ledwie dostrzegł ten fakt. Było późno i musiał szybko jechać na dyżur. Kiedy jednak oświadczyła, że barwa ścian powinna stać się weselsza i ma z nich zniknąć zimny beż, jakim było pomalowane całe



wnętrze, z miejsca zaprotestował. Powiedział Lucy, że nie ma racji i że obecny kolor ścian bardzo mu odpowiada. zaproponował, żeby wzięła sobie wolny dzień i pojechała do domu.

Oczywiście, protestowała jak zwykle. Przez pełne pięć minut oboje mówili bez przerwy, nie zwracając większej uwagi na wypowiedane słowa.

Wtedy Boone uzmysłowił sobie niesamowity upór tej kobiety. Nie było można nakłonić jej do zmiany zdania. Tak więc ustąpił w ostatniej minucie przed wyjazdem do remizy i pozwolił Lucy odnowić wnętrze domu. Sądził, że gdy tym się zajmie, narozrabia niewiele, a on przez jakiś czas będzie miał względny spokój. Kiedy podsunęła mu pod nos kilka różnobarwnych próbek farby, tylko rzucił na nie okiem i w pośpiechu któryś zaakceptował. Nie miał pojęcia, że jeden z wybranych kolorów był...

- Różowy. To jest różowy - powtórzył z uporem.

- Zechciej rzucić okiem na tę próbkę. - Lucy pomachała mu przed nosem barwnym paskiem. - Co tu napisano u dołu?

Boone uśmiechnął się z tryumfem.

- Zachód słońca na pustyni - odczytał.

Lucy kiwnęła głową.

-Tak.

- A więc to nie jest terakota.

Spojrzała na niego tak, jakby brakowało mu piątej klepki.

- A jakiego koloru jest, twoim zdaniem, zachód słońca na pustyni?

- Różowy, jeśli sądzić po tej próbce.

- Nie. Pomarańczowy. A ten kolor - znów wskazała trzymaną w ręku próbkę - ma taki sam odcień. To terakota.

Zrobiwszy minę pełną zwątpienia, Boone ponownie zaczął przyglądać się ścianom. Rano, załatwiwszy po dyżurze parę spraw na mieście, wrócił do domu. I tu przywitał go ostry zapach świeżej farby i podśpiwywanie Lucy.



Podążając za jej głosem, dotarł do gościnnego pokoju. Stała na drabinie. W pochłapanym roboczym ubraniu nadal wyglądała pociągająco. Boone miał ochotę dotknąć niektórych plam farby. Zwłaszcza na biuście i na pośladkach. Był tak zaabsorbowany przyglądaniem się ruchom Lucy na drabinie, że nie zwrócił większej uwagi na wyniki jej pracy. Ni stąd, ni zowąd przyznał w duchu, że być może dom wymagał rzeczywiście solidnego odnowienia. Od prawie dwu lat, kiedy się tu wprowadził, nie malował żadnych pomieszczeń. Wyglądały teraz dość ponuro.

- Różowy - powtórzył z uporem. - Nie chcę mieć nic różowego.

Lucy rozłożyła ręce.

- A ja nie będę ponownie malowała.

- Będiesz.

- Poczekaj, aż wyschnie farba. I pozwól mi nałożyć drugą warstwę. Dopiero wtedy będzie widać właściwy kolor. Jeśli jednak nadal uznasz go za różowy, to może przemaluję ściany.

- Może? Sądziłem, że jesteś moją niewolnicą. I będziesz robiła, co tylko zechcę.

- W granicach zdrowego rozsądku.

Boone zmierzył wzrokiem stawiającą mu się kobietę.

- Dopiero teraz dodajesz ten drobny warunek? - zapytał.

Lucy odwzajemniła się groźnym spojrzeniem.

- Sądzisz, że zgodziłabym się bez zastrzeżeń podporządkować mężczyźnie, którego prawie nie znam? Za kogo mnie bierzesz?

Miał już wszystkiego dość. Mruczając pod nosem coś niepochlebnego, wyszedł z pokoju. Od oparów farby rozboleła go głowa. Jeszcze nie upłynął pierwszy dzień panoszenia się Lucy w jego domu, a już Boone był wykończony. Ta kobieta potrafiła błyskawicznie doprowadzić go do białej gorączki. Rozzłościła, zirytowała i...

I podnieciła, uprzytomnił sobie z przerażeniem. Miał ochotę przycią-



gnąć ją do siebie, razem z nią cieszyć się wspólnie spędzanym czasem i zetrzeć te śmieszne plamy, jakie miała na spodniach. W takim stroju żadna inna kobieta nie byłaby pociągająca. Lucy Dolan, nawet ubrudzona farbą, wyglądała apetycznie i seksownie.

Wszystko to nie miało żadnego sensu. Lucy nie należała do kobiet, z jakimi Boone miewał do czynienia. Pozwalał sobie na sporadyczne randki tylko i wyłącznie z przedstawicielkami płci pięknej, których zachowanie się był w stanie zawsze przewidzieć.

Oczywiście, oznaczało to, że jego partnerki były raczej nudne, a spotkania z nimi mało zabawne. No cóż, jeśli mężczyzna nie chce ponownie zostać oszukany, musi nie tylko dmuchać na zimne, lecz także godzić się na drobne ustępstwa.

A teraz pojawiła się Lucy Dolan. Kobieta stwarzająca problemy. Niecodzienna, wesoła, uparta i spontaniczna. Traktowała kota jak ukochanego członka własnej rodziny. Przede wszystkim jednak była osobą, której zachowania się Boone nie potrafił przewidzieć. Mówiła jedno, a robiła drugie. Wiedział, że nigdy nie potrafi dotrzymać danego słowa.

A gdyby pozwolił jej na bliższy kontakt, zniszczyłaby go natychmiast, podobnie jak uczyniła to Genevieve.

- Boone, poczekaj, muszę o coś cię zapytać.

Ruszył przez hol w stronę wewnętrznych schodów. Przyszło mu na myśl, że jeśli będzie ignorował Lucy, to może da mu spokój.

- O co chodzi? Nie mam czasu na żadne rozmowy.

Poszedł na górę do sypialni. Z impetem otworzywszy drzwi szafy, udawał, że czegoś w niej szuka.

- Boone! - zawołała z dołu Lucy. Zaczęła wchodzić na schody.

- Co się stało? - warknął. Upłynęło parę chwil.

- Muszę prosić cię o coś ważnego.



Tym razem głos Lucy rozległ się z bliska. Musiała znajdować się tuż za plecami Boone'a. Odwrócił się gwałtownie, ale zdołał złapać ją za rękę, chroniąc przed upadkiem, gdyż straciła równowagę. Odruchowo przytrzymała się jego ramienia, wypuszczając z ręki próbki farby.

Przez dłuższą chwilę trwali w bezruchu. Na twarzy Lucy, poniżej warg, Boone zobaczył plamkę farby barwy zachodu słońca na pustyni. Bezwiednie starł ją palcem. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Wreszcie udało mu się zapytać:

- Czego chcesz?

Zmusił się, by słowa te zabarwić nutą zniecierpliwienia, niechęci i obcości. Kiedy jednak zobaczył wzrok Lucy, nadal utkwiony w jego twarzy, i błyszczące oczy, niemal zapomniał, dlaczego postanowił trzymać tę kobietę na odległość. Dosłownie i w przenośni.

Wiedział, że z Lucy pod jednym dachem nie przetrwa miesiąca. Ani nawet tygodnia. Ta kobieta za bardzo go pociągała. Codzienne widywanie jej spotęgowałyby tylko pożądanie.

Nadal w milczeniu patrzyła na Boone'a, tak jakby nie mogła sobie uzmysłwić, co robi w jego sypialni i o co chciała go zapytać. Ocknęła się nagle. W jej rozszerzonych oczach odmalował się strach.

Cofnęła się i pochyliła nerwowym ruchem, żeby zgarnąć z podłogi wachlarzyk rozrzuconych próbek farby.

- Posłuchaj... - zaczęła mówić, układając je szybko - zaraz... niech tylko spojrzę...

Wreszcie znalazła to, czego szukała. Oderwała wzrok od próbek farby. Uśmiechnęła się nieśmiało, a Boone odkrył, że wpływ tej kobiety na podświadome odruchy jego ciała stawał się coraz większy. Przystąpił z nogi na nogę, co jeszcze bardziej pogorszyło jego samopoczucie. Miał tylko nadzieję, że Lucy nie zauważyła, jak bardzo jest podniecony.



Wskazała szarawy kolor, będący mało udanym skrzyżowaniem niebieskiego z zielonym.

- Co powiesz na takie ściany w sypialni? - spytała. Boone westchnął ciężko.

- Jak długo zamierzasz tu dziś zostać? Lucy opuściła ramiona.

- Jeszcze nie wiem. Przepraszam, że to mówię, ale jest tu dużo roboty.

- Masz na nią cały miesiąc - przypomniał.

Wzruszyła ramionami. Wbiła wzrok w podłogę.

- Nie jestem pewna, czy w tym czasie zdołam zrobić wszystko.

- Jakie masz dalsze plany związane z moim domem?

- Na razie nie mam żadnych. - Lucy mówiła coraz bardziej niepewnie. - Pomyślałam, że może powinieneś wziąć jeszcze kogoś do pomocy.

Boone skinął głową, choć wiedział, że Lucy, nadal wpatrzona w ziemię, nie widzi tego gestu. Zaczynał powoli rozumieć, że ta kobieta robi wszystko w równym stopniu dla siebie, jak i dla niego. Być może nie zdawała sobie sprawy z tego, że pragnie stać się potrzebna. A jedynym znanym jej sposobem jest wtargnięcie w życie innego człowieka.

- Niezły kolor - oświadczył. Był zdziwiony, że wdaje się w dyskusję z Lucy. - Uważam jednak, że znacznie lepszy byłby niebieski.

Kiedy na niego spojrzała, w jej oczach dostrzegł wdzięczność. Jeszcze tego mi trzeba, pomyślał z niechęcią.

Szybko przerzuciła próbki. Z kilku różnych odcieni niebieskiego wybrała jeden. Jego zdaniem, ładny.

- Podoba ci się? - spytała.

- Może być.

- To mgła nad oceanem - poinformowała.

Boone skinął głową.





- Brzmi kojąco. - Właśnie czegoś takiego było mu teraz trzeba.

- Dobrze. A więc tą farbą pomaluję sypialnię. - Smutna twarz Lucy rozjaśniła się nieco. - Zobaczysz, jak pięknie odnowię salonik. Kiedy skończę całą robotę, nie poznasz swojego domu.

Boone poczuł nagle, że zaczyna boleć go głowa.

- Lucy, tego właśnie się obawiam - powiedział spokojnie. - Właśnie tego.

Przez następne dwa tygodnie Lucy była najlepszą niewolnicą, jaką można było sobie wyobrazić. Dni zrobiły się chłodne, mniej było pracy na budowach. Wzięła więc dwa tygodnie urlopu. Gdyby nie zobowiązanie w stosunku do Boone'a, pojechałaby gdzieś na odpoczynek. Tak przynajmniej wcześniej planowała.

Teraz jednak usiłowała przekonać siebie samą, że pomysł był kiepski. Co za frajda spędzać z kotem całe dni w jakimś tanim motelu, za największą rozrywkę mając możliwość oglądania telewizji kablowej na pięćdziesięciu siedmiu kanałach?

Szef bez wahania udzielił jej urlopu. Sądził, że jest Lucy potrzebny ze względu na utratę domu i związaną z tym osobistą sytuację, a ona nie wyprowadzała go z błędu. Trochę wolnego czasu przeznaczyła na rozglądanie się za nowym lokum, ale do tej pory nie znalazła niczego stosownego, a także na zakup ubrań i rzeczy niezbędnych do codziennej egzystencji. Większość czasu poświęciła jednak Boone'owi, a właściwie jego domowi. Prawdę powiedziawszy, właściciela widywała rzadko.

Po zakończeniu dyżuru w remizie każdorazowo wynajdował sobie na mieście przeróżne, niezwykle pilne zajęcia. W mało subtelny sposób dawał Lucy do zrozumienia, że postępuje tak dlatego, by znajdować się jak najdalej od niej. Grywał z kolegami w pokera, szedł do kina. Umówił się nawet z pewną rudowłosą dziewczyną, a potem głośno przy Lucy



wychwalał jej zalety.

Dzień w dzień, gdy tylko niewolnica pojawiała się przed domem Boone'a, zastawała go wychodzącego. Dał jej nawet klucz do frontowych drzwi, aby mogła przyjeżdżać podczas jego nieobecności. W ten sposób ograniczył do minimum nawet krótkie, grzecznościowe rozmowy.

Ciągła nieobecność Boone'a była Lucy na rękę. Umożliwiała sprawne naprawy wielu rzeczy w całym domu. Nikt nie plątał się jej pod nogami. Po odnowieniu wszystkich pomieszczeń zabrała się do sprzątanía. Na każdym kroku było widać, że Boone nie radzi sobie z domowymi pracami.

Lucy wyczyściła lodówkę, wyrzuciła zbyt długo przechowywane produkty i zastąpiła je nowymi. Innymi. Zdrowszymi i, jej zdaniem, smaczniejszymi. Zrobiła porządek we wszystkich kuchennych szafkach. Przegrupowała ich zawartości, tak aby było wygodniej z nich korzystać. Zamówiła też tapicera, który miał pokryć na nowo meble w saloniku. Wybrała tkaniny obiciowe. Uważała, że są bez porównania ładniejsze i sympatyczniejsze niż wyblakłe beżowe i brązowe, na które swego czasu zdecydował się Boone.

Potem, uznawszy, że przestrzeń życiowa pana domu jest zagospodarowana mało sensownie, przestawiła wszystkie meble. Zależało jej na stworzeniu miłszej atmosfery. Mimo iż lubiła jesień, tym razem żałowała, że to nie wiosna. Wzdłuż chodnika prowadzącego do frontowego wejścia posadziłaby wówczas bratki i nagietki, a w pustej części podwórza młody dereń. Za parę lat cieszyłby oko pięknymi barwami i dawał w lecie upragniony cień. Lucy pomyślała, że pewnie uda się jej wpaść tu wiosną i zagospodarować przestrzeń wokół domu. Na pewno Boone nie będzie miał nic przeciw temu. Na razie musi się zadowolić małym ogródkiem ziół, które posadziła w doniczkach ustawionych na parapecie nad kuchennym zlewem.



Pracując dla Boone'a, przez prawie cały czas była sama. Samotna, lecz równocześnie szczęśliwa. W pobliżu nie przebywał ani Boone Cagney, ani żaden inny człowiek. Nikt jej nie przeszkadzał. Nikt się z nią nie kłócił i nie krytykował każdego posunięcia. I to było wspaniałe. Pan domu tak często schodził jej z oczu, że jego osobą prawie przestała zaprzętać sobie głowę.

Bywały jednak chwile, kiedy przestawała myśleć o akurat wykonywanej robocie. Gdzieś w głębi mózgu wyłaniał się obraz Boone'a i stapał z urojeniami. I wtedy pozbyć się go nie potrafiła.

Czasami w marzeniach Boone brał ją w objęcia. Dalej następowała wizja doznań najbardziej erotycznych, jakie potrafiła sobie uzmysłować.

Wyobraziła sobie nawet, że się kochają. Ale tylko raz. Bo zaraz potem zdecydowanie położyła kres wszelkim niezdrowym fantazjom, obawiając się, że zaprowadzą ją za daleko.

Ten jeden, jedyny raz, gdy wyobrażała sobie intymne przeżycie z Boone'em, w pełni uprzytomnił jej, jak puste wiedzie życie. Była na tyle dojrzała, aby zdawać sobie sprawę z tego, że świat nie obraca się wokół seksu. Jednak fakt, że od kilku lat jej życie było całkowicie pozbawione erotycznych doznań, sprawił, iż dotkliwie odczuwała ich brak.

Upłynęły już dwa tygodnie pracy dla Boone'a. Tego dnia wraz z Maćkiem znajdowała się w piwnicy. Otworzyła drzwiczki pralki i wyciągała ze środka uprane rzeczy. Wielki kot ułożył się na ciepłej obudowie suszarki. Zadowolony, mrucał głośniejsz niż elektryczne urządzenie.

Słyszając to, Lucy nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. Mack uwielbiał wylegiwać się na rozgrzanej, lekko wibrującej suszarce. Boone miał identyczną jak ta, od której zapalił się jej dom. Nie po raz pierwszy tego wieczoru Lucy stłumiła uczucie dojmującego smutku na myśl o doznanej stracie. Nadal jednak, na szczęście, pozostało jej w życiu wszystko, co najważniejsze.



No, może niezupełnie wszystko.

- Co to za sens budzić się każdego ranka - powiedziała na głos, trochę do siebie, a trochę do Macka - jeśli potem przez cały dzień człowiek porusza się jak automat, nie zauważając, co wokół się dzieje, i kładzie do łóżka bez żadnych nowych przeżyć. Komu jest potrzebne takie puste i jałowe życie?

Filozofowanie było dla Lucy czymś zupełnie nowym. Do tej pory nigdy nie zastanawiała się nad głębszym sensem swej egzystencji. Prawie nie zwracała uwagi na to, w jaki sposób spędza czas. Za dnia i w nocy. Być może dlatego zachowywała się jak robot. Poruszała automatycznie. Oczywiście, działało się tak, zanim zaczęła spędzać czas z Boone'em. A raczej w jego domu. Teraz ani przez sekundę nie czuła się jak z góry zaprogramowany mechanizm.

Boone z rzadka wracał wcześniej do domu. Prawie nigdy nie jadali wspólnych posiłków. A ich rozmowy ograniczały się do kilkunastu słów. Lucy zdążyła już zapomnieć, ile radości daje dzielenie życia z drugim człowiekiem. Doceniała obecność Macka, ale przyznawała uczciwie, że trudno było prowadzić z nim konwersację. Świetnie potrafił się z nią porozumieć, kiedy sam czegoś potrzebował. Repertuar gestów i pomruków miał jednak bardzo ograniczony.

Boone natomiast okazał się człowiekiem rozmownym. Wprawdzie zawsze mówił tylko to, że nie powinna robić czegoś, na co miała ochotę i co dotyczyło jego domu lub poprawy stylu życia, ale język miał bogaty. Czasami nawet aż za bogaty jak na jej gust... Na przykład wtedy, kiedy po powrocie do domu zobaczył, że Lucy zrobiła na strychu generalne porządki. Dowiedział się wówczas, że wszystkie stare numery „National Geographic”, pochodzące sprzed drugiej wojny światowej, oddała do miejscowego liceum.

Dziś była w złym nastroju. Uznała, że to skutek przemęczenia. Spłacanie Boone'owi długu wdzięczności okazało się bar dziej wyczerpujące,



niż przypuszczała. Mimo że gdy tylko pojawiał się na progu domu, od razu kazał jej przerywać pracę i brać sobie wolny dzień, czego ona, oczywiście, nie robiła, bo zawsze wynajdywała jakąś pilną robotę.

Tak jak teraz, uzmysłowiła sobie. Sięgnęła do wnętrza pralki i wyjęła ostatnią rzecz. Na policzki Lucy wystąpiły rumieńce, gdy po rozciągnięciu mokrego materiału okazało się, że trzyma w rękach krótkie męskie gatki.

Przecież to nic nadzwyczajnego, pomyślała. Przez prawie pięć lat zajmowała się praniem bielizny męża i nigdy ani przez chwilę nad tym się nie zastanawiała. Dlaczego więc ni stąd, ni zowąd białe, krótkie, bawełniane majtki nagle wywołały tak gwałtowne bicie serca?

- Lucy, jesteś stuknięta - powiedziała na głos do siebie.

Kiedy jednak Mack otworzył leniwie jedno oko i zaczął podejrzliwie przyglądać się swej pani, zamknęła buzię i zamilkła. Zaczynała się głupio zachowywać. Reagowała wtedy, kiedy robić tego nie powinna. Na przykład na widok gatków Boone'a Cagneya. I, co było jeszcze bardziej idiotyczne i bez sensu, na sam widok tego człowieka.

W tej chwili usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Boone Cagney wrócił z pracy. Lucy spojrzała na zegarek. Było kilkanaście minut po jedenastej. A więc zjawił się wcześniej niż zwykle. Nie zatrzymał się dłużej poza domem, aby także dziś nie oglądać swej niewolnicy.

Zabrała się ponownie do sortowania mokrej bielizny wyjętej z pralki i równocześnie wsłuchiwała się w odgłosy kroków dochodzące z parteru. Wiedziała, co za chwilę nastąpi. Jak zwykle po powrocie Boone'a z całodobowego dyżuru, usłyszy jego kroki na schodach, gdy będzie szedł do sypialni.

Przerwała pracę. Podniosła głowę i zaczęła wpatrywać się w sufit piwnicy. Czekwała w napięciu. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...



- Lucy!

Donośny krzyk niemal poruszył w posadach cały dom. Lucy zaciśnęła powieki. Czekwała na wybuch gniewu Boone'a.

- Do diabła, coś ty narobiła?!

Westchnęła. Otworzyła oczy. Jak zwykle, nie uczyniła nic złego. Tylko trochę uprzątnęła zaniedbany dom. Tym razem przestawiła meble w sypialni i całkowicie zmieniła wystrój wnętrza.

Usłyszawszy głośne krzyki dochodzące z piętra, Mack zeskoczył z suszarki i z uniesionym do góry, sztywnym ogonem zaczął przechadzać się po piwnicy. Lucy uspokajała go łagodnie:

- Wszystko w porządku, słonko. Pan Cagney wrócił zmęczony z pracy. Nie masz się czym przejmować.

- Lucy! - ponownie ryknął Boone, co wywołało groźny pomruk dużego kota. - Przyjdź natychmiast na górę!

Westchnęła. Ach, ci mężczyźni! Zawsze czegoś chcą.

- Zostań tutaj - poleciła kotu. - Sama to załatwię.

Mack niechętnie wskoczył na suszarkę i zwinął się w kłębek. Jego głośne miauknięcie Lucy uznała za ostrzeżenie skierowane pod jej adresem.

Szybko opróżniła suszarkę i umieściła w niej następną partię upranej bielizny. Ułożyła w koszu wysuszone rzeczy i, żeby spełnić życzenie pana domu, ruszyła powoli po schodach na górę.

Zatrzymała się na najwyższym stopniu. Zobaczyła Boone'a. Jeszcze ubrany w strażacki mundur, stał odwrócony plecami do niej przy łóżku, z rękoma opartymi na biodrach.

- Jak się masz? - siląc się na spokój powitała go Lucy. – Jak minął dyżur?

Boone nie odwrócił się w jej stronę. Ledwie mógł mówić, bo tak bardzo był wściekły.

- O mały włos, a straciłbym życie na skutek elektrycznego śpięcia.

- Co takiego?



- Ale to było nic w porównaniu z tym, co stało się, gdy wszedłem do swej sypialni. Dopiero tutaj trafił mnie szlag.

Lucy uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie musisz mi dziękować. Robiłam to z przyjemnością.

Błyskawicznie odwrócił się w jej stronę.

- Co takiego?! - ryknął. - Miałbym ci dziękować? Za to? Jak mogłaś zrobić coś podobnego? - Z obrzydzeniem na twarzy wyciągnął rękę w stronę łóżka. - Co, do diabła, leży tam na wierzchu?

Lucy spojrzała we wskazanym kierunku. Przełknęła ślinę.

- To... to nowa kapa - wyjaśniła. Zaczęła drzeć na całym ciele. - Czyżby... ci się nie podobała?

Zesztywniał jeszcze bardziej.

- A jak myślisz? - warknął ze złością.

- Stara była zniszczona. Poprzecierana. I brzydka. Tak ponurych tkanin nikt od lat nie używa.

- A więc zamieniłaś moją kapę na to, co tu leży? - Ponownie ze wstrętem spojrzał na łóżko.

- Nie podoba ci się? Przecież to bardzo ładny materiał. I modny wzór.

- Jest... jest...

Ze złości Boone'owi odebrało mowę. Lucy uznała to za kiepski znak. Zwykle świetnie potrafił wyartykułować wszystko, co zechciał. Starczało mu słów. Może nie zawsze wyrażał się oględnie, ale za każdym razem miał wiele do powiedzenia.

Odwrócił się i jeszcze raz omiół wzrokiem łóżko.

- Co jest na tej kapie? - spytał z obrzydzeniem w głosie.

Lucy usiłowała się uśmiechnąć, lecz jej nie wyszło.

- To... to fiołki. Prawda, że ładne? Świetnie harmonizują z kolorem ścian. - Znów stanął do niej twarzą. Zobaczyła, że naprawdę jest wściekły. - Nie... nie wiedziałam, na co się zdecydować. Mogłam jeszcze wybrać kosze z owocami.

- Kosze z owocami? - warknął.



Skinęła głową.

- Wybrałam fiołki, bo... bo są bardziej... męskie.

- Bardziej męskie? - powtórzył przez zaciśnięte zęby. - Uważasz, że to... - ze wstrętem wskazał łóżko - jest męskie?

- Tak. - Lucy stawała się coraz bardziej nieszczęśliwa. - Inne kapy miały... falbany. - Widząc utkwiony w sobie rozeźlony wzrok Boone'a, tłumaczyła słabym głosem: - Ja tylko próbowałam wprowadzić w twoim domu trochę ulepszeń. Jeśli ci się nie podobają...

- Powiadasz, w moim domu? - przerwał jej ostro. - To już nie jest mój dom, lecz twój. Z mojego domu nie pozostawiłaś tu niczego.

Zdesperowana Lucy zagryzła wargi. Milcząc, podniosła wzrok na Boone'a. Chciała, żeby przestał patrzeć na nią tak groźnie.

Dłonią zakrył oczy. Nadal jednak nie zdołał przesłonić tego, co ta kobieta zrobiła z jego łóżkiem. W jego własnym pokoju. Z ciężkim westchnieniem opuścił rękę. Zbolałym wzrokiem jeszcze raz ogarnął zmienione wnętrze.

Na obu oknach Lucy zawiesiła nowe zasłony. Miały wzór identyczny jak kapa na łóżku. Usunęła szmaciany dywanik, który przed dziesięciu laty kupił na targu, i zastąpiła go kwiecistym, bardzo nowoczesnym. Na parapetach okiennych, gdzie przedtem leżały stosy starych numerów magazynu „Strażak” i powieści Stephena Coontsa, ustawiła rzędem doniczki.

Małą ryciną przedstawiającą zioła zastąpiła na ścianie najcenniejszą dla Boone'a rzecz na świecie. Głowę niedźwiedzia trzymającego w zębach cygaro, ze sfatygowanym kapeluszem tkwiącym zawadiacko na czubku.

Boone zapragnął jeszcze bardziej zezłościć się na Lucy, ale przekraczało to jego możliwości. Widocznie wściekłość na siebie samego odebrała mu wszelkie siły.

Jak to się stało, że sprawy posunęły się aż tak daleko? rozgorączony





zapytywał się w myśli. Jak mógł do tego dopuścić? Upłynęły pełne dwa tygodnie obecności tej kobiety, a nadal była aktywna jak na początku. Nie miał pojęcia, że ta drobna istota potrafi aż tak zdewastować jego życie. Jak długo jeszcze zamierza go nękać? Jak długo jeszcze będzie nACHodzić dom, zanim uzna, że spłaciła zaciągnięty dług? Jej upór doprowadzał Boone'a do szału.

Ponownie na nią spojrział. Nadal ścisnęła w rękę kosz pełen bielizny. Miała zaczerwienione policzki. Przez rozchyłone wargi chwyciła nerwowo powietrze. Była, jak zwykle, ubrana po męsku. W niebieskie dżinsy, flanelową koszulę i wysokie buty. I jak zawsze wyglądała piekielnie pociągająco.

Boone'owi przyszedł do głowy nowy pomysł. Dzięki drobnemu wybiegowi może uda mu się przyspieszyć zniknięcie tej kobiety z jego życia.

- Lucy? - odezwał się, za wszelką cenę usiłując zachować spokój.

Przełknęła nerwowo ślinę.

- Słucham, Boone.

- Dlaczego wyczyniasz to wszystko?

- Już mówiłam. Spłacam mój dług.

Skinął głową.

- Jasne. Spłacasz - powtórzył. - Sądzę jednak, że nadszedł czas, abyś wreszcie zrobiła to jak należy.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Boone zobaczył, że Lucy natychmiast zeszywniała. Jej twarz pokryła się rumieńcem. Swoim oświadczeniem zaskoczył ją całkowicie.

- Zawdzięczasz mi życie? - zapytał.

W milczeniu skinęła głową. Widział, że ma się na baczności.

- I życie kota - przypomniał.

Ponownie potwierdziła skinieniem głowy jego słowa.

- Mówiłaś, że w stosunku do mnie masz wielki dług. Prawda?

- Prawda - powtórzyła cicho.

- Tak duży - ciągnął Boone - że za jedyny sposób spłacenia go uznałaś oddanie się do mojej dyspozycji na trzydzieści dni. Oświadczyłaś, że przez ten czas będziesz moją niewolnicą. Czy taka była twoja obietnica?

- Tak.

- Czy zauważyłaś, że do tej pory wymagałem od ciebie niewiele?

- Tak.

- Prawdę powiedziawszy, nie chciałem niczego. Czy tak było?

- Tak.

Boone zawahał się lekko. Przez cały czas ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy stojącej przed nim kobiety.

- Dobrze, że już zdążyłaś przyzwyczać się do potakiwania - oświadczył. Miał nadzieję, że jego głos zawiera ukrytą groźbę.



- Bo teraz ja zechcę czegoś od ciebie. I skoro jesteś moją niewolnicą, będziesz musiała powiedzieć: tak. Mam rację?

W milczeniu spojrzała mu prosto w oczy. Wie, o czym mówię, uznał. Na twarzy Lucy zobaczył nagle wyzwanie. Od razu domyśliła się, o co Boone ją poprosi, a właściwie co jej rozkaże. Nie miała jednak pojęcia, na ile serio traktował swoje słowa. Czy groźbę zamierza wprowadzić w czyn?

Teraz rozpoczyna się zabawa, uznał Boone z satysfakcją. Przekonał się, jak daleko Lucy będzie w stanie się posunąć, sprawi mu niezłą frajdę.

- Odstaw kosz z bielizną - powiedział.

Bez najmniejszego wahania wykonała polecenie.

- Chodź tutaj.

Tym razem miała opory.

- Bliżej.

Podeszła. Z wysoko uniesioną głową. Stała przed Boone'em. Znacznie niższa, miała przed oczyma nie jego twarz, lecz guziki koszuli. W promieniach słońca wpadających przez okna jej czarne włosy nabrały niebieskiego połysku. Pachniała świeżą bielizną, rozgrzaną w letni dzień.

Boone wmawiał sobie, że robi to tylko dlatego, żeby wystraszyć Lucy Dolan i raz na zawsze się jej pozbyć. Tak naprawdę jednak motywy jego postępowania były zupełnie inne. Pożądał tej kobiety. Pragnął jej bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Popatrz na mnie - odezwał się łagodnym głosem.

Uniosła głowę, żeby napotkać jego wzrok. Miała ogromne, rozszerzone oczy, lekko zaróżowioną skórę i pełne, czerwone wargi.

- Pocałuj mnie - polecił.

Lekko rozchyliła usta, tak jakby chciała coś powiedzieć, lecz szybko się rozmyśliła. Objęła Boone'a za szyję, wspięła się na palce, przechyliła głowę, zamknęła oczy i... i przyłożyła wargi do jego ust. Pocałunek był



delikatny jak muśnięcie skrzydłami motyla. Boone'owi zaostrzył apetyt.

Właśnie zamierzał odwzajemnić pieśczętę, gdy nagle Lucy odsunęła się, opuszczając ręce. Oddychała szybko i nierówno.

- Pocałowałam cię - powiedziała zmienionym głosem. – To powinno wystarczyć.

- Niezupełnie - zaprotestował Boone.

Oczy Lucy zrobiły się jeszcze większe.

Nabrał głęboko powietrza i wyrównał przyspieszony oddech.

- Rozepnij swoją koszulę - polecił.

- Co takie...?

- Rozepnij.

- Ale...

- Jesteś moją niewolnicą - przypomniał surowo. - Rób, co każe.

Przymknęła powieki. W jej oczach zobaczył podejrzliwość, a zarazem wyzwanie. Ucieszył się, gdy podniosła rękę i rozpięła koszulę pod szyją. Zrobiła to ze wszystkimi guzikami, do samego dołu. A potem, nie proszona, wyciągnęła ze spodni poły koszuli. Opuściła ręce.

Już wówczas, gdy rozpiniała trzeci guzik, Boone poczuł ucisk w gardle. Miał przed sobą kobietę w męskim, roboczym ubraniu. Liczył na to, że pod szorstką tkaniną dostrzeże zaraz przyzwoitą damską bieliznę.

Spełniły się jego oczekiwania. Ujrzał rąbek malinowej koronki, niewiele ciemniejszej niż rumieniec, który pokrył dekolt Lucy.

- Jeszcze - zażądał Boone. Wodził wzrokiem za jej ręką.

- Chcę zobaczyć więcej.

Odchyliła poły koszuli. Nie odrywała wzroku od twarzy Boone'a.

- Zdejmij - polecił.

Zrzuciła koszulę na ziemię. Boone poczuł przyływ pożądania. Spod



przezroczystej koronki przebijały sterczące sutki. Napięte piersi domagały się uwolnienia z cienkiej tkaniny.

- A teraz džinsy - powiedział szorstko.

- Dżinsy? - Głos Lucy miał niskie brzmienie. Nasuwało to podejrzenie, że jest podniecona, podobnie jak Boone.

Zawahała się na krótko. Potem powoli rozpięła suwak na brzuchu. Boone zobaczył skąpe majteczki z takiej samej koronki, co biustonosz. Lucy usiadła na brzegu łóżka, aby zdjąć buty i skarpetki. Zaraz potem się podniosła. Zsunęła spodnie i zostawiła je na podłodze. Przez cały czas wpatrywała się w Boone'a.

Stała teraz przed nim z wysoko uniesioną głową i malującym się w oczach wyzwaniem. Oddychała szybko i nierówno. Falowała jej pierś. Boone spostrzegł, że podobnie jak on sam, jest trochę przestraszona.

Chyba zdecydowała się posunąć dalej, niż to sobie wyobrażał. Na tę myśl ogarnęła Boone'a następna fala pożądania.

Ta kobieta była jego niewolnicą. Pragnął posiadać ją całą. Ciało, umysł i duszę. Uznał, że tak będzie sprawiedliwie. Był przekonany, że po tym, gdy nastąpi zbliżenie, ta kobieta całkowicie nim zawładnie.

Z trudem wydobył głos.

- Podejdz - powiedział. - I pocałuj. Tym razem zrób to jak należy.

Lucy nerwowo przełknęła ślinę. Nie potrafiła opanować przyspieszonego bicia serca. Jeszcze nigdy nie była aż tak podniecona. Czuła ogarniającą ją falę gorąca. W tej chwili liczył się tylko Boone. Pragnęła go. Chciała posiadać tego mężczyznę na zawsze.

A gdyby okazało się, że z jego strony jest to tylko okrutny żart, chybaby go zabiła.

W strażackim mundurze przyozdobionym insygniami kapitana wyglądał poważnie. I władczo. Przytłaczał Lucy potężną sylwetką. Biel koszuli sprawiała, że jego oczy wydawały się jeszcze bardziej zielone i



przenikliwie niż zwykle. Promienie słońca ozłacały mu włosy.

Wyglądał imponująco. Był najbardziej zniewalającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znała. Nie potrafiła się oprzeć. Musiała poddać się jego woli.

Tym razem gdy wspięła się na palce, żeby pocałować Boone'a, jedną rękę zarzuciła mu na szyję, a drugą położyła na piersi. Czowała mocne i szybkie bicie serca. Waliło jak młotem.

Zadrżała z wrażenia. Ugięły się pod nią kolana. Żeby nie stracić równowagi, przytrzymała się koszuli Boone'a. Objął ją w talii. Po chwili zsunął niżej dłoń. Dotknąwszy koronkowych majteczek, jęknął głośno.

- Och, Lucy!

Przygarnął ją do siebie. Poczwała, jak bardzo jest pożądana. Zamknęła oczy. Napierał na nią całym ciałem tak mocno, że tym razem kolana do końca ją zawiodły. Objęła Boone'a za szyję i przywarła wargami do jego ust.

Długo stał tak bez ruchu, z głośno walącym sercem. Poddawał się pocałunkowi.

Później przejął inicjatywę. Wsunął dłonie we włosy Lucy i odciągnął od siebie jej głowę, odsłaniając alabastrową szyję. Szeroko rozwartymi wargami zaczął wodzić po gładkiej skórze. Wsunął twarz między piersi.

Teraz jęknęła Lucy, gdy przez cienką koronkę zaczął ssać naprężoną sutkę. Ręce Boone'a znalazły się na zapięciu biustonosza i po chwili malinowy skrawek cienkiej tkaniny sfrunął na ziemię.

Boone nasilił pieścizoty. Miał teraz przed sobą obnażone, ponętne piersi. Całował je i coraz mocniej drażnił zębami i czubkiem języka. Lucy głośno jęczała. Półprzytomna, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Po chwili pod plecami poczuła chłodną pościel. Boone nachylał się nad nią, nie odrywając warg od jej gorącej skóry.



Poczuła ręce Boone'a między udami. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że musiał rozebrać ją całkowicie. Coraz głębiej wsuwał palce. Z wrazenia zaczęła wciąć się w pościeli. To, że Boone nadal był ubrany, a ona zupełnie naga, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Postanowiła jednak odwzajemnić pieśczoć.

Rozpięła jego spodnie. Wsunęła palce pod materiał. Pod wpływem ich dotyku Boone nagle znieruchomiał. Poszukał wzroku Lucy. Naciśnięciem dłoni wymusił na niej silniejszą pieśczoć.

Zamknął oczy. Zafascynowana, słuchała, jak jęczy z rozkoszy. Po chwili uniósł powieki i delikatnie odciągnął jej rękę.

- Zdejmij mi koszulę - poprosił chrapliwym głosem.

Zrobiła to natychmiast. Odśloniła umięśniony tors. Nachyliła się i językiem zaczęła drażnić męski sutek. Poczuła jednak, jak Boone za włosy odciąga jej głowę na tyle, by mogła spojrzeć mu w oczy.

- Teraz spodnie - dodał.

Z uśmiechem wykonała zleconą robotę. Boone przedtem zrzucił buty. Po paru sekundach spodnie też znalazły się na ziemi.

- Połóż się na plecach.

Na chwilę zamarła. Zaraz potem jednak spełniła polecenie. Leżała teraz na środku łóżka z oczyma utkwionymi w twarzy Boone'a. Przez dłuższy czas w milczeniu przyglądał się obnażonemu kobiecemu ciału, a potem na brzuchu Lucy położył szeroko rozwartą dłoń i powoli przesunął ją na jedną z piersi.

- Jeszcze nigdy nie miałem w łóżku niewolnicy - oznajmił łagodnym głosem, przenikliwym wzrokiem przeszywając Lucy.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło.

- Trudno w to uwierzyć - wyszeptała. Boone pokręcił głową. Odwrócił wzrok.

- Naprawdę zrobisz to, co ci każę? - zapytał.



Zawahała się na chwilę. Zagryzła wargi. A potem bardzo powoli skinęła głową.

- Wszystko? - Nadal na nią nie patrzył.

- Tak.

Uśmiechnął się. I zaraz potem zobaczyła, że ogarnia go szaleństwo.

Ujął sutek w dwa palce i lekko go skręcił. Lucy zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Zastanawiała się, jak długo będzie ją dręczył, zanim da to, czego pragnęła. Niemal w nieskończoność bawił się jej piersiami. Potem niżej przesunął rękę. Między uda.

Lucy poczuła, że się odsunął. Otworzyła oczy, aby zaprotestować. Uniosła głowę. Zobaczyła, że Boone nachyla się nad jej rozsuniętymi udami. Językiem zaczął pieścić ją tak, iż myślała, że oszaleje. Wiła się, jęczała i krzyczała. Żądała, aby natychmiast przestał. Parę sekund później zmieniła zdanie. Domagała się jeszcze intensywniejszej pieścioty.

Wtedy podniósł się i nakrył ją całym ciałem. Jedną ręką chwycił za nadgarstki, uniósł jej rękę za głowę i przycisnął do poduszki. Lucy otworzyła oczy. Tuż nad sobą ujrzała Boone'a. Jego uśmiech równocześnie podniecał ją i przerażał.

- Co teraz mam zrobić? - dzielnie spytała szeptem.

Nachylił się i pocałował ją lekko w kark.

- Chcę, żebyś zrezygnowała z prac, które zaplanowałaś na popołudnie. Poza domem nie mam dziś żadnych zajęć, a na to, co chciałbym robić, potrzeba sporo czasu.

Uśmiechnęła się słabo.

- Zgoda - szepnęła.

- A potem - zniżając głos powiedział Boone - chcę, żebyś dobrze się bawiła. Zamierzam ci w tym pomóc.

Zanim zdążyła się odezwać, szerzej rozsunął jej uda. Po chwili poczuła go w sobie. Zaczęła jęczeć. Od dawna nie pożądał jej żaden mężczyzna. Czowała się opuszczona i nie kochana. Istniało niewielu ludzi,





których obdarzała miłością. I być może jej uczucie dlatego było tak bardzo silne. Wszechogarniające i trwałe.

Nie chciała się zakochać. Teraz jednak, gdy stała się własnością Boone'a, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, była pewna, że ten człowiek posiadał ją na zawsze. Poddała się rytmowi pieszczoty, która stawała się coraz gwałtowniejsza. Po chwili poczuła siłę eksplozji.

Dopiero wtedy Lucy uprzytomniła sobie, co się stało. Nie zastosowała żadnego ochronnego środka. Na szczęście, była w bezpiecznej fazie cyklu. Znacznie bardziej przejęła się jednak myślą, że, oprócz ciała, Boone posiadał także jej serce.

Pokochała tego człowieka. Bez względu na to, jak potoczy się ich dalsza znajomość, wiedziała, że duszą i ciałem należy do Boone'a.

Ułożył się obok niej. Otworzyła usta, żeby powiedzieć, co czuje, ale on odezwał się pierwszy.

- Sądzę, że mógłbym się przyzwyczaić do posiadania niewolnicy w łóżku - oznajmił łagodnie.

Tylko w łóżku? O mały włos, a Lucy by go o to zapytała. Bała się jednak usłyszeć odpowiedź. Milczała. Żeby się uspokoić, odetchnęła głęboko.

- Słucham.

- Jest jeszcze parę innych rzeczy, które chciałbym z tobą robić - dodał Boone. Zamilkł na chwilę. - I dla ciebie.

Serce Lucy zabiło mocniej. Gdy wyszeptał jej do ucha odważne seksualne propozycje, poczuła, jak ogarnia ją ogień.

- Nie masz nic przeciwko temu? - chciał się upewnić.

Powoli pokręciła głową.

- Nie mam - odparła szeptem. - Jestem przecież twoją niewolnicą. Dla ciebie zrobię wszystko.

Jak mogła zdobyć się na coś podobnego?

Następnego ranka, leżąc w motelowym łóżku, Lucy bezskutecznie



usiłowała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Co ją wczoraj naszło? Jak mogła spędzić niemal cały dzień w łóżku mężczyzny, zezwalając mu na wszystko, co z nią robił? I dlaczego tak bardzo to się jej podobało?

Tuż przed zachodem słońca, bez pożegnania, opuściła śpiącego Boone'a. Nie przygotowała mu kolacji.

Na samo wspomnienie seksualnych igraszek zrobiło się jej gorąco. Jak mogła do tego dopuścić? Boone'a Cagneya знаła zaledwie od trzech tygodni. Czemu się nie oparła jego namowom? Czy rzeczywiście była aż tak bardzo nieszczęśliwa? Tak bardzo samotna? Jak mogła oddać się prawie obcemu mężczyźnie, nie zważając na żadne konsekwencje?

Wczoraj Boone wzbudził w niej różnorakie odczucia. Uprzytomnił pragnienia i potrzeby. Przemienił ją w zupełnie inną istotę. W kobietę, której wcale nie знаła. Jak uda się jej spłacić dług, zanim zupełnie się zatraci?

Za uratowanie Macka musiała się odwdzińczyć. Na razie zrewanżowała się za to tylko w połowie. Oczywiście, nie zamierzała tego robić w taki sposób, jak stało się to wczoraj. Może już nigdy więcej nie powinna jechać do Boone'a? Od samego początku powtarzał uparcie, że nie chce widzieć jej w swym domu. Ale to było, zanim...

Zanim stała się naprawdę jego niewolnicą. Zanim zawładnął jej duszą i ciałem.

Nie miała pojęcia, czego teraz od niej chce. I czy jeszcze w ogóle czegoś zapragnie?

Z jękiem przewróciła się na łóżku. Wyrwany nagle ze snu Mack zeskoczył na podłogę.

- Przepraszam - mruknęła Lucy do naburmuszonego kota. - Gdzie podziewałeś się wczoraj? Czemu mi nie pomogłeś? Powinieneś zrobić coś, co powstrzymałoby... Sam wiesz, co. Musiałeś przecież słyszeć, co się dzieje...

Mack zamrugał oczyma. Wlepił wzrok w swoją panią.



- Pewnie zostałeś w piwnicy - mówiła dalej. - Mam rację? Powinieneś przynajmniej przewrócić jakąś lampę. Może bym wtedy oprzytomniała. - Wielki kot miauknął niezadowolony i znacząco odwrócił się w stronę kuchni. - Zupełnie nie pojmuję, jak możesz być głodny o tej porze - dodała z westchnieniem.

Wstała z łóżka. Włożyła do miski kocie jedzenie. Postawiła ją na podłodze. Tym razem Mack mruknął z zadowoleniem.

- Do licha - szepnęła Lucy - co ja mam robić?

Może nie stało się aż tak źle, jak sądziła. Kochała się z Boone'em, to fakt. Ale nie zrobiła niczego złego. W przeciwieństwie do niej większość ludzi uprawiała seks. I nie było to dla nich nic wielkiego. Dlaczego więc się tym martwiła?

Co z tego, że kochali się z Boone'em w szaleńczy sposób? Inne pary pewnie też czasami, postępowały identycznie.

Byłoby więc głupio, gdyby dziś rano pojawiła się u Boone'a i na samym wstępie usprawiedliwiła się ze swego wczorajszego zachowania, którego sama zresztą do końca nie pojmowała. W każdym razie jadąc do niego wstąpi na kawę i bułki. Po drodze zdąży wymyślić jakieś sensowne wytłumaczenie.

Ubrała się, wzięła Macka i zamknęła za sobą drzwi. Opuściła motel. Uzmysłowała sobie, że to, co należało zrobić, nie miało wiele wspólnego z tym, czego naprawdę chciała...

Lucy poczuła gwałtowny przypływ pożądania. Od dawna nie miała podobnych doznań. Z trudem stłumiła rozbudzone pragnienia. Wydawało się mało prawdopodobne, aby Boone kiedykolwiek je spełnił.

Mimo to jednak, z niewiadomego powodu, nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że wyniesienie przez Boone'a Macka z płonącego domu miało dalekosiężne skutki. Ten człowiek uratował kota i ocalił jej życie.

Oznaczało to, że w rzeczywistości miała do spłacenia podwójny dług.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dwadzieścia minut później Lucy znalazła się przed domem Boone'a. Po drodze nie udało się jej wymyślić żadnego usprawiedliwienia. Ale dopisało szczęście. Pana domu nigdzie nie było. Nie zobaczywszy na podejździe jego samochodu, podeszła do garażu. Przez zakurzoną szybę w drzwiach zajrzała do środka, sądząc, że tam go zobaczy. Garaż był pusty.

Spojrzała na zegarek. Właśnie minęła ósma. Lucy wiedziała, że o tej porze Boone nie ma poza domem żadnego zajęcia. Następny dyżur w remizie zaczynał dopiero jutro rano, a na dodatkowe zajęcia jeździł wyłącznie popołudniami. Dobrze pamiętała, jaki był wściekły, gdy zjawiała się o tej prze. Tak więc gdyby z jakiegoś powodu nie musiał wcześniej wstać, z pewnością leżałby jeszcze w łóżku.

A więc gdzie był?

Lucy wyciągnęła z kieszeni otrzymany od Boone'a klucz do frontowych drzwi. Nie miała pojęcia, dlaczego tym razem wchodząc do pustego domu czuła się zażenowana. Robiła to przez pełne dwa tygodnie i ani razu z tego powodu nie przeżywała żadnych rozterek. Było to bowiem normalne postępowanie. Zjawiała się ze śniadaniem, jedli je wspólnie, a potem ona zabierała się do roboty. Dlaczego więc dzisiejszy dzień miałby się różnić od czternastu poprzednich?

Było jasne, że Boone wstał wcześniej i wyszedł gdzieś z domu, tak jakby to był dla niego zupełnie zwyczajny dzień, niczym nie różniący się



od poprzednich. Dlaczego więc ona nie miałyby zachować się podobnie?

Otwierając frontowe drzwi, zawołała na wszelki wypadek:

- Halo, Boone! Jesteś w domu?

Mack wyprzedził swą panią i starym zwyczajem ruszył na górę, wprost do sypialni, tak jakby on też uważał ten dzień za najzwyczajniejszy pod słońcem.

Lucy wzruszyła ramionami. Widocznie była przewrażliwiona, skoro Boone i Mack zachowywali się normalnie, nie przywiązując żadnej wagi do tego, co stało się wczoraj. Poczowała się rozczarowana. Zamknęła za sobą wejściowe drzwi.

Właściwie czego się spodziewała? Że wczorajsze wydarzenie Boone przeżyje równie silnie jak ona? Że będzie tu dziś na nią czekał z kwiatami, szampanem i bąbelkową kąpielą dla dwojga?

Skąd mógł wiedzieć, jak wiele znaczył dla niej wczorajszy dzień? Nie przypuszczał nawet, jak silnie rozbudził w niej uczucie, znacznie większe niż to, które żywiła w stosunku do męża. No i pozostawało jeszcze jedno istotne pytanie. Skąd w ogóle przyszło jej do głowy, że dla Boone'a mogłaby stać się kimś wyjątkowym?

Lucy westchnęła głęboko. Jak widać, kimś wyjątkowym dla niego się nie stała. Była niewolnicą i nikim więcej.

Stojąc przy drzwiach, usiłowała przypomnieć sobie, jakie zadanie zaplanowała sobie na dziś, zanim... zanim zajęła się czymś zupełnie innym. Aha, chodziło o schowek w holu. Miała zrobić w nim porządek. Wiedziała, że będzie to trudne zadanie. Obszerne pomieszczenie było po sufit zapchane najróżniejszymi nie używanymi przedmiotami.

Dwie godziny później pochłonięta robotą niemal zdołała przestać myśleć o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Miała przed sobą stos starych rupieci. Nie mogła pojąć, dlaczego Boone już dawno temu ich się nie pozbył. Wyglądało na to, że wpychał do schowka każdy popsuty



przedmiot, nie nadający się do użytku, zamiast od razu wyrzucić go na śmietnik.

Wśród stosu rupieci Lucy znalazła uszkodzoną raketkę, wyszczerbiony nóż, zniszczoną księgę pamiątkową, rocznik 1978, ze szkoły średniej Hoovera, stos par spodni nie nadających się już do noszenia, a także najbrzydszą hawajską koszulę, jaką kiedykolwiek zdarzyło się jej oglądać.

Wśród przechowywanych rzeczy znajdowała się także oprawiona w ramki fotografia. Przedstawiała Boone'a obejmującego piękną dziewczynę. Lucy wyjęła zdjęcie ze schowka i ustawiła je na podłodze, oparte o ścianę. Zamierzała od czasu do czasu na nie spoglądać, tak aby uświadomić sobie bezmiar własnej głupoty. Na fotografii widniała z pewnością była narzeczona Boone'a. Kobieta, którą pokochał na tyle, by zechcieć dzielić z nią życie. Kobieta, którą prawdopodobnie nadal kochał. Lucy przerwała robotę i zaczęła uważnie przyglądać się zdjęciu.

Boone stał obok narzeczonej, obejmując ją ramieniem. Była klasyczną piękną. Drobną i delikatną, o długich blond włosach, dużych, niebieskich oczach, słodkim uśmiechu na wargach, z wąską talią i wydatnym biustem. Miała na sobie elegancką bluzkę w kwiaty, a na włosach aksamitną przepaskę. Przeguby obu rąk zdobiły gustowne złote bransolety, a palce - liczne pierścionki, między innymi jeden z dużym brylantem, pewnie zaręczynowy. Na szyi, na cienkim złotym łańcuszku, znajdował się wisiorek o kształcie serduszka.

Towarzyszka Boone'a stanowiła uosobienie urody, jaką uwielbiają mężczyźni. Ucieleśnienie ich pragnień. Wszystko w jej sylwetce zdawało się mówić: jestem kobietą.

Lucy wpatrywała się w fotografię. Zaniepokoił ją wyraz twarzy Boone'a. Bez troski i radosny. Człowieka bezgranicznie szczęśliwego. Takiego uśmiechu Lucy nigdy u niego nie widziała. Boone wyglądał na mężczyznę, który otrzymał od życia wszystko, o czym marzył.



Wyglądał na mężczyznę nieprzytomnie zakochanego.

Wzrok Lucy zatrzymał się znów na wiotkiej sylwetce. A więc tego pokroju kobieta potrafiła wyzwolić w nim uczucie miłości. Lucy musiała przyznać, że teraz, przy niej, Boone ani przez sekundę nie wyglądał na szczęśliwego. Inna rzecz, że nie miał po temu wielu powodów. Nie proszona wkroczyła w jego życie. Do góry nogami przewróciła dom, modelując go wedle swojej, wymarzonej wizji, lekceważąc upodobania właściciela. Co gorsza, z własnej, nieprzymuszonej woli została jego niewolnicą, nie wzięwszy pod uwagę faktu, że jej propozycję można uznać za moralnie dwuznaczną. Boone Cagney miał pełne prawo błędnie interpretować powstałą sytuację.

Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że interesowały go kobiety zupełnie innego pokroju. Och, na pewno potrafiłaby dostarczyć mu seksualnej rozrywki, ale jeśli chodzi o głębsze uczucie, nie miała żadnych szans. Boone pragnął innej życiowej partnerki.

Dla Lucy nie było to nic nowego. Właściwie powinna się już do tego przyzwyczaić, pomyślała z gorącością. Nikt nigdy jej nie chciał. Nie odpowiadała niczyim wyobrażeniom.

I tym razem nie należało spodziewać się niczego innego. Westchnęła ciężko. To, co działo się teraz, było kontynuacją przykrych życiowych doświadczeń.

Nagle otwarły się frontowe drzwi. Na progu stanął Boone. W obu rękach trzymał duże papierowe torby z zakupami. Cień, w jakim się znajdował, nie pozwalał Lucy dostrzec wyrazu jego twarzy. Zobaczyła jednak, że na jej widok natychmiast zeszywniał.

- Cześć - przywitała go odruchowo. - Wcześniej dziś wychodziłeś.

Usłyszawszy normalny ton głosu Lucy, lekko się rozluźnił. Nadal jednak stał bez ruchu w otwartych drzwiach. Tak jakby niepewny, czy pod własnym dachem będzie mile widziany.



- Nie mogłem spać - powiedział spokojnie. - Pojechałem do klubu, żeby trochę poćwiczyć w siłowni. A potem załatwiłem kilka sprawunków.

- Zabrałam się do porządkowania schowka - oznajmiła Lucy. Zaraz jednak potem uznała, że wyjaśnienie było bezprzedmiotowe. Na podłodze holu u jej stóp wałały się różne rupiecie, świadczące o tym, co właśnie robiła. A ponadto trzymała w ręku fotografię oprawną w ramki.

- Dlaczego tak szybko wczoraj zniknęłaś?

Nie ma to jak pytanie prostu z mostu, ze smutkiem pomyślała Lucy. Spojrzała na zdjęcie przedstawiające szczęśliwego Boone'a i zabołało ją serce. Westchnęła ciężko. Podniosła głowę i popatrzyła na pana domu. Nadal nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, bo stał w cieniu. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Musiałam iść - mruknęła pod nosem.

- Dokąd? - spytał Boone. - Kiedy się obudziłem, już cię nie było.

- Przepraszam. Musiałam iść - powtórzyła.

Boone zrobił parę kroków. Nogą zatrzaskał za sobą drzwi. Lucy nie wyglądała na przewrotną oszustkę, ale i Genevieve nie sprawiała takiego wrażenia. Popatrzył uważnie na kobietę, która z własnej, nieprzymuszonej woli została jego niewolnicą, i zastanawiał się, dlaczego wczoraj od niego uciekła. Bez słowa wyjaśnienia.

Po południu, które spędzili razem, oczekiwał równie emocjonującego wieczoru. Kiedy jednak się przebudził, za oknami zdążył już zapaść zmrok, a część łóżka, w której spodziewał się znaleźć Lucy, była pusta. Opuściła go, nawet się nie pożegnawszy.

Tak jak swego czasu uczyniła to Genevieve.

Była narzeczona nie pojawiła się nigdy więcej, podczas gdy Lucy wróciła następnego ranka. Wyglądała przy tym tak, jakby wczorajsze intymne zbliżenie nie pozostawiło ani śladu w jej psychice. Zdumiało to





Boone'a. Był przekonany, że do ostatnich wydarzeń Lucy będzie przywiązywała znacznie większe znaczenie, niż powinna.

Czym właściwie okazało się dla niej ich fizyczne zbliżenie? Boone zapytywał się chyba po raz setny od chwili przebudzenia. Nie potrafił sobie tego wyjaśnić. Jedno było pewne. To, co działo się między nim a Lucy, w żaden sposób nie przypominało poprzednich kontaktów z innymi kobietami. Dlatego zapragnął się dowiedzieć, co ona sama o tym myśli.

Spojrzał na Lucy. Trzymała jakiś niewielki, płaski przedmiot.

- Co tam masz? - zapytał. Szybko schowała rękę za plecami.

- Nic.

- Wygląda mi na fotografię w ramce.

- Aha.

Boone uśmiechnął się pod nosem. Pewnie w schowku znalazła jakieś jego stare zdjęcie.

- Pokaż, niech zobaczę.

- Nie warto, żebyś teraz je oglądał - odparła szybko. - Z innymi rzeczami właśnie wkładam je do schowka. Możesz zrobić to później, kiedy mnie nie będzie i zostaniesz sam.

Boone postawił na podłodze torby z zakupami i z uśmiechem na twarzy wyciągnął rękę.

- Lucy, pokaż zdjęcie. Nic mnie nie zdziwi.

Nadal nawet nie drgnęła. Boone uznał, że musi zachować się stanowczo i wyegzekwować swoją prośbę.

- Podaj mi. Natychmiast - polecił ostrym tonem.

Z niechęcią wręczyła mu fotografię.

Na widok zdjęcia na twarzy Boone'a zamarł uśmiech. Do licha, był przekonany, że udało mu się pozbyć wszystkiego, co mogło przypominać Genevieve. Jak to się stało, że pozostawił tę nieszczęsną fotografię? Zrobili ją wkrótce po zaręczynach. Był wtedy szaleńczo, nieprzytomnie i ślepo zakochany w tej kobiecie. Uszczęśliwiała go myśl o wspólnej



przyszłości, którą mu obiecywała.

Obiecywała. Był przekonany, że Genevieve dotrzyma danego słowa. I będzie kochała go po wsze czasy. Nie miał żadnego powodu, by jej nie ufać. Jakim był wtedy idiotą!

Spojrzał na Lucy.

- Czy to... twoja narzeczona? - spytała, patrząc gdzieś w bok.

- Była narzeczona. Lucy skinęła głową.

- Jest bardzo ładna.

Prychnął gniewnie, ale nie mógł zaprzeczyć, gdyż Genevieve była właśnie taka.

- Wyglądała dobrze - mruknął. - Jak prawdziwa dama - dodał, starając się, aby w jego głosie Lucy nie wyczuła goryczy.

Nie zamierzał nikomu przyznawać się do tego, jak ta kobieta wystrychnęła go na dudka. - Była nauczycielką, chodziła do kościoła i interesowała się sztuką - dorzucił, torturując się wewnętrznie. Co za ironia. Na jej duszy nie odbiło się żadne piękno.

- Bardzo... ją kochałeś? - spytała Lucy. Teraz też nie mógł zaprzeczyć.

- Tak - mruknął w odpowiedzi.

- To miło - stwierdziła cichym, matowym głosem, płynącym jak z oddali. - Dobrze, gdy ludzie się kochają.

- Być może - przyznał Boone. Jego myśli wróciły do pamiętnego dnia, kiedy to czekając na swą wybrankę, wiele godzin spędził w kościele. - Ale mnie się to już nie zdarzy - dodał z pełnym przekonaniem. - Nigdy.

Spojrzał na Lucy. Patrzyła mu prosto w oczy. Nie potrafił odczytać uczuć malujących się na jej twarzy. Była ubrana jak zwykle. Miała na sobie workowate spodnie, rozciągniętą bluzę od dresu i wysokie, robocze buty. Przypomniawszy sobie, że Lucy prowadzi samochód ciężarowy i jako dekarz zarabia na życie.



Podświadomie porównywał ją z kobietą, którą swego czasu zamierzał uczynić swoją żoną.

Genevieve była jak piękny ptak. Nosiła zwiewne, kwieciste suknie i pantofle na wysokich obcasach. Na ramiona narzucała lekki sweter. Miała piękne blond włosy, sięgające pasa. Zawsze długo i starannie robiła makijaż. Była obwieszona biżuterią. Gustowną i drogą. I zawsze roztaczała wokół siebie odurzającą woń kosztownych kwiatowych perfum.

A Lucy Dolan?

Boone westchnął głęboko. Kontrast między nią a Genevieve był ogromny. Ubierała się jak robotnik budowlany. Do licha, przecież ona pracowała jako robotnik budowlany! uzmysłowił sobie. I nie miała w sobie ani za grosz kobiecości. Dlaczego więc bez przerwy męczyły go erotyczne sny i pragnienie posiadania tej kobiety? Było w niej coś, co podniecało go znacznie bardziej niż u jakiegokolwiek przedstawicielki tak zwanej słabej płci. Jedyne, co mógł robić, to zwalczyć w sobie tę idiotyczną, niczym nie uzasadnioną obsesję.

Mimo ogromnych różnic, Lucy i Genevieve były do siebie podobne pod jednym względem. Łączyła je umiejętność dewastowania jego życia. Tym razem jednak był na to przygotowany i nie da się zaskoczyć. Zrobi wszystko, aby nie dopuścić do katastrofy.

Zobaczył, że wzrok Lucy zatrzymał się na torbach, które postawił na podłodze.

- Też zrobiłam dla ciebie zakupy - oznajmiła niepewnym głosem.

Boone wziął do rąk wiktuały i ruszył w stronę kuchni.

- Zapomniałaś o stekach - stwierdził z wyrzutem w głosie.

Za plecami usłyszał cichy głos:

- Prawdę mówiąc, umyślnie ich nie kupiłam. Czerwone mięso nie jest zdrowe. Można jeść steki od czasu do czasu, ale nie codziennie. Uznałam, że kurczak i ryba będą znacznie...



- Zapomniałaś też o deserze.

Lucy zawahała się na chwilę.

- Nie powinieneś spożywać tak wiele cukru. Każdego ranka jadasz coś słodkiego. Nie jest to korzystne dla organizmu - dodała pewniejszym głosem.

- Potrzebowałem też innych rzeczy - oświadczył Boone.

Miał na myśli prezerwatywy. Następnym razem chciał być przygotowany. Następnym razem? Idiotyzm. Nie będzie następnego razu.

Z jego strony byłaby to piramidalna głupota.

Nie może dopuścić do dalszego rozwoju wydarzeń. Nie da się załatwić tak jak dwa lata temu. W stosunku do Lucy zaspokoił ciekawość i tyle.

Nie dopuści do niczego więcej.

Wczoraj zapomniał się na chwilę. Przestał się pilnować. Musi tę kobietę przywołać do porządku. W przeciwnym razie nigdy się jej nie pozbędzie.

Postawił na stole zakupy i zdjął kurtkę. Powiesił ją na kołku na wewnętrznej stronie drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Lucy zaczęła rozpakowywać jedną z przyniesionych przez niego toreb.

- Zostaw - powiedział szybko. Podszedł do stołu, żeby ją powstrzymać. Nie zdołał.

- Pozwól, że skończę - odparła. - Odpocznij.

Bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć, w której torbie znajdowały się prezerwatywy. Lucy wyciągnęła okazałe opakowanie ziemniaczanych chipsów i mruknęła, że znacznie zdrowsze byłyby precelki. Wsunęła rękę do torby i wyjęła następny zakup. Trzymała teraz w ręku pudełko prezerwatyw.

Splonęła rumieńcem. Spojrzała na Boone'a.

- To nie dla ciebie - warknął zmieszany.

Ze zdumieniem zobaczył uśmiech na jej twarzy.



- Jasne. Też tak sądziłam. Nie mój rozmiar - z trudem zdobyła się na żart.

- Słuchaj, ja nie...

- Może powinniśmy porozmawiać o tym, co stało się wczoraj? - zaproponowała spokojnie.

Boone wciągnął głęboko powietrze.

- To się nie powtórzy. Nigdy więcej.

Na twarzy Lucy odmalowało się rozczarowanie. Nic dziwnego. Wczoraj musiała mieć dobrą zabawę, uznał z satysfakcją. Dla nich obojga było to nie byle jakie przeżycie. Czegoś takiego należy w życiu doświadczyć przynajmniej jeden raz. Jemu i Lucy raz w zupełności wystarczy.

- Słuchaj - zwrócił się do niej - nie powinniśmy byli dopuścić do tego, co się stało. Nie miałem prawa prosić cię, a właściwie nakazywać ci, abyś... - urwał. - W każdym razie obiecuję, że to się nie powtórzy.

Lucy skinęła głową. Z rezygnacją zacisnęła wargi.

- Obietnica w ustach człowieka, który uważa, że nikt na całym świecie nie dotrzymuje danego słowa, jest niewiele warta - oznajmiła dobitnie.

Punkt dla niej, uznał Boone.

- A więc zapomnij o mojej obietnicy. Przyjmij tylko do wiadomości, że to, co było wczoraj, nie zdarzy się nigdy więcej.

- Masz rację - przyznała. - Nigdy więcej.

To było łatwe, ocenił Boone. Ale dlaczego słowa Lucy wywołały jego rozczarowanie? Zapytał bezwiednie:

- Nigdy więcej?

- Tak. - Energicznie kiwnęła głową. - Wczoraj... wczoraj... było... cudownie - stwierdziła nieoczekiwanie. - Ale masz rację. Popelniliśmy błąd. I co do tego oboje jesteśmy zgodni. Musimy pamiętać, żeby nic takiego więcej się nie powtórzyło. Uważam temat za zamknięty. Koniec. Kropka.

Boone poczuł niedosyt. Uznał, że powiedzieli sobie zbyt mało. Nie



miał jednak pojęcia, co by tu dodać. Lucy miała chyba rację. Jeśli żadne z nich nie chciało ponawiać seksualnego zbliżenia, nie było sensu włączyć tego tematu. Dlaczego jednak nagle ucięcie przez Lucy dyskusji sprawiło, że poczuł się głęboko rozczarowany?

- Koniec. Kropka - powtórzył niechętnie.

Bez słowa Lucy podała mu prezerwatywy. Przerwała wypakowywanie torby. Zły znak, uznał Boone. Ta kobieta zawsze kończyła rozpoczętą czynność.

- Kupiłam placki z jabłkami - oznajmiła spokojnym tonem.

- Mogę ci je podgrzać. Nie będą tak dobre jak mojej roboty, ale dadzą się zjeść.

A więc wróciła do poprzedniej roli, stwierdził Boone. Niech będzie. Czuł wyraźny niedosyt rozmowy, ale być może nie była to najodpowiedniejsza chwila na analizowanie powstałej sytuacji. Tak więc postanowił się nie odzywać. Spod oka przyglądał się Lucy.

Milczenie Boone'a uznała widocznie za akceptację własnej propozycji, gdyż zaczęła układać placki na blasze.

- Będą gotowe za piętnaście minut. Gorące i słodkie. Takie, jakie lubisz na śniadanie.

Boone nadal się nie odzywał.

- Gardzisz kupnymi plackami? - spytała. - Jeśli tak, to sama coś ci upiekę. To trochę potrwa. Ale jeśli jeszcze nie chce ci się jeść...

- Jestem głodny - oznajmił.

Westchnął głęboko. Miał ochotę jak najszybciej pozbyć się z domu tej kobiety. Przewróciła do góry nogami całą jego egzystencję. Wyzwoliła uczucia, o których istnieniu dawno temu zdążył już zapomnieć. Pokazała, jak można cieszyć się życiem. Jednym słowem, przy Lucy Dolan zaczął robić rzeczy, o których raz na zawsze postanowił zapomnieć. Jak długo jeszcze będzie plątała się pod nogami, zanim uzna, że spłaciła dług, i wyniesie się na zawsze? Jeden miesiąc, uzmysłowił sobie. Obiecała, że



przez miesiąc będzie jego niewolnicą.

- No więc? - spytała, przerywając jego rozmyślenia.

- Więc co? - Zapomniał, o czym była mowa.

- Chcesz, żebym sama coś upiekła? Powiedz, co. Jestem przecież twoją niewolnicą. Chyba o tym pamiętasz.

- Zrób, co chcesz - odparł niechętnie. - Nie miałem pojęcia, że też potrafisz piec.

Zwężonymi oczyma Lucy popatrzyła gniewnie na Boone'a. Nie wiedział, czym ją rozzłościł.

- Oczywiście, że umiem - oświadczyła lodowatym tonem. - Pieczenie to moje ulubione zajęcie. Przez sześć lat z rzędu na targach stanu Wirginia zdobywałam nagrody za czekoladowe ciasteczka.

- Naprawdę?

Boone miał ochotę wyznać, że za nimi przepada, lecz się powstrzymał. Gdyby się o tym dowiedziała, jeszcze bardziej wlaźłaby mu na głowę. Nagle on też się zezłościł. Nie miał pojęcia, dlaczego.

- Tak. Zaczęłam piec, kiedy miałam dziesięć lat. Już wtedy moją specjalnością były te ciasteczka.

Gdy otwierała kuchenne szafki i wyciągała niezbędne składniki, czuła na sobie spojrzenie Boone'a. Miała ochotę wyjawić mu, że pieczenie było jedyną wykonywaną przez nią czynnością, którą pochwalali przybrani rodzice. Dlatego stawiała na głowie, by im dogodzić i aby jej ciasteczka były jak najlepsze.

Już jako dziecko piekła wspaniale. Niestety, mimo tej umiejętności, przybrani rodzice nadal bezustannie jej przypominali, jak bardzo powinna być im wdzięczna za dach nad głową. W przeciwnym razie wegetowałyby w państwowym domu dziecka.

Umiejętność pieczenia ciasteczek także nie wystarczała, aby zdobyć uznanie w oczach Boone'a, ze smutkiem stwierdziła w duchu Lucy.



W pierwszej chwili odczuła nawet ulgę, że nie chciał rozmawiać o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Potem jednak ogarnęły ją przygnębienie i złość. Czy to, co stało się między nimi, nie miało dla niego żadnego znaczenia? Czyżby tak szybko zapomniał o wczorajszych doznaniach?

Lucy odwróciła się i z żalem spojrzała na Boone'a. Nadal pragnęła go całym sercem. Ale nie potrafiłaby żyć dalej ze świadomością, że człowiek, którego pokochała, nie chciał jej takiej, jaka była.

Przypomniała sobie, że ma dla Boone'a pracować jeszcze przez dwa tygodnie. Będzie codziennie go widywała i przywiąże się jeszcze mocniej. Dzień w dzień będzie wspominała cudowne intymne przeżycia jednej nocy, wiedząc, że już nigdy więcej nie zdarzy się jej nic podobnego...

Dwa tygodnie to jak całe życie.

Lucy poczuła nagle ogarniające ją zmęczenie.

- Mogę wziąć dziś wolny dzień? - spytała Boone'a. W jego oczach odmalowało się niezadowolenie.

- Wolny dzień? - powtórzył z widoczną niechęcią.

- Tak. Źle spałam tej nocy. Muszę odpocząć.

- Odpocząć - powtórzył jak echo.

- Tylko dzisiaj. Jutro wrócę.

- Obiecujesz?

- Oczywiście.

- A ja mam w to wierzyć? - zapytał drwiącym tonem. Lucy nie miała pojęcia, dlaczego Boone jest tak przeczulony na punkcie obietnic.

- Tak.

Pożerał ją wzrokiem. Poczowała, jak ogień ogarnia jej ciało. Zdołała się opanować z największym wysiłkiem.

- Słuchaj - zaczęła - jeśli trochę nie odpocznę, to... - urwała.

- To co? - Głos Boone'a nadal był przepełniony sarkazmem, którego przyczyny Lucy nie pojmowała.





Westchnęła ciężko. Zacisnęła powieki, gdyż uprzytomniła sobie, że zaraz się rozpłacze.

- To mogę zrobić coś, czego bym potem żałowała. Daj mi wolny dzień. Proszę!

Stał nadal nieruchomo. Rozgniewany i napięty.

- Zgoda - przystał wreszcie. - Jeśli ci to potrzebne, weź wolne na całe dwa tygodnie.

- Nie, dziękuję. Jutro będę z powrotem.

- Naprawdę?

Nie podjęła wyzwania. Wyszła z kuchni, jednym gwizdnięciem przywołała Macka i wzięła go na ręce.

Opuściła dom i szybko ruszyła w stronę czerwonej półciężarówki.

Czuła się okropnie. Była prawie pewna, że wczoraj Boone tak szalenie kochał się z nią tylko dlatego, iż był głęboko nieszczęśliwy i tęsknił do kobiety, którą chciał poślubić.

Zgnębiona, zacisnęła wargi. Za żadne skarby świata nie zgodzi się grać zastępczej roli. Nie zwiąże się z mężczyzną pragnącym innej kobiety. Takiej, jaką ona sama nigdy nie potrafiłaby się stać. Dwukrotnie przeżyła bolesne rozczarowanie. Zawiodła pokładane w sobie nadzieje. Najpierw rodziców, a potem męża. Ale nie była masochistką. Po raz trzeci nie da się uwikłać w identyczną sytuację.

Przenigdy.

Włączając silnik samochodu, Lucy zastanawiała się, jak uda się jej przetrwać w pobliżu Boone'a jeszcze pełne czternaście dni.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Boone nie był w stanie sprawdzić, czy Lucy dotrzymała przyrzeczenia i czy następnego dnia u niego się zjawiała, gdyż akurat wypadł mu dyżur w remizie. Zwykle przyjeżdżała przed siódmą rano, przywożąc śniadanie, i plątała mu się pod nogami, dopóki nie opuścił domu. Dziś późno wyjechał do pracy, dopiero kwadrans przed ósmą, a Lucy jeszcze się nie zjawiała.

Typowe, pomyślał, zamykając za sobą drzwi i kierując kroki w stronę garażu. Od samego początku był przekonany, że ta kobieta nie dotrzyma danego słowa. Dlaczego więc nieobecność Lucy stanowiła dla niego przykre zaskoczenie? Podobnie jak wszyscy, z którymi miał do czynienia, nie potrafiła spełnić żadnej obietnicy. Powinien natychmiast przestać sienia przejmować. Nie była tego warta.

Od razu poznał, z kim ma do czynienia, ale z tego powodu nie odczuwał teraz żadnej satysfakcji. Dlaczego? Odpowiedź nasunęła się od razu. Bo łudził się, że Lucy jest inna.

Myśl ta była tak nieoczekiwana, że aż stanął w miejscu. Czy to prawda? zastanawiał się, zaskoczony. Czyżby przez cały czas, wmawiając sobie, że Lucy, podobnie jak wszyscy inni ludzie w jego życiu, nie dotrzyma przyrzeczenia, miał równocześnie podświadomie nadzieję, że stanie się inaczej? Dlaczego?

Nie znajdował odpowiedzi na swoje pytania. W każdym razie ta kobieta go zawiodła. Nie przyszła do tej pory, więc już więcej u niego się nie pokaże.



Powinien odczuć wyraźną ulgę. Przecież zależało mu na tym, aby raz na zawsze, i to szybko, zniknęła z jego życia. Wszystko stało się zarówno zgodnie z przewidywaniami, jak i życzeniem. Jego codzienna egzystencja wróci wreszcie do normy. Powinien się z tego cieszyć. Skakać z radości.

Niestety, nie potrafił. Jedyne uczuciem, które teraz go ogarniało, był dziwny niepokój.

Boone spojrzął na zegarek. Na domiar złego groziło mu spóźnienie się do pracy. Szybko otworzył garaż, wyprowadził samochód i wyjechał na drogę. Zapraagnął mieć pełne ręce roboty, by nie musieć myśleć o Lucy. Pełne ręce roboty oznaczały jednak dla strażaka jakąś ludzką tragedię. Nie był aż takim egoistą, żeby losy bliźnich przestały mieć dla niego znaczenie.

Westchnął bezwiednie. A więc wszystko było po staremu. W jego życiu, na szczęście, nie zmieniło się nic. Był nadal człowiekiem samotnym i bardzo mu to odpowiadało.

Następnego ranka, wracając z dyżuru do domu, nadal jednak myślał o Lucy. W skrytości ducha liczył, że ją u siebie zastanie. Wczoraj chyba zbyt pochopnie odsądził tę kobietę od czci i wiary. Z pewnością zamierzała dotrzymać danego słowa i zjawić się o zwykłej porze, ale przeszkodził jej jakiś uliczny korek. A może po prostu zawiódł budzik?

Z pewnością czeka teraz na niego z gorącym śniadaniem i uśmiechem na twarzy, podobnie jak to czyniła przez ostatnie dwa tygodnie.

Boone podjechał pod dom. Czerwonej półciężarówki nie było. Wprowadził samochód do garażu i, jak zwykle, drzwiami od podwórza wszedł do domu. Przykro uderzyła go panująca tu cisza. Nie usłyszał ani podśpiewywania Lucy, ani kociego miauczenia. Uznał, że musi być poważnie chory na umyśle, skoro brakuje mu tego piekielnego stworzenia.

Zdjął płaszcz i powiesił go na drzwiach. Dopiero gdy się odwrócił,



zobaczył kartkę leżącą na stole. A więc Lucy wpadła tu i zaraz sobie poszła. Wziął liścik do ręki. Przeczytał:

„Boone,

Przykro mi, ale będę musiała na razie przerwać pracę u ciebie. Szef ma dla mnie nową robotę. Muszę ją wziąć, bo potrzebuję pieniędzy. Znalazłam dom, który mi się podoba, ale mam za mało forsy, żeby go kupić.

Skorzystałam z twojej rady i wynajęłam prywatnego detektywa, żeby odszukał mego brata. To również będzie sporo kosztowało. Ale gra jest warta świeczki, chyba też tak sądzisz.

Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to na razie zatrzymam twój klucz. Odpracuję u ciebie te czternaście dni, ale jeszcze nie wiem, kiedy mi się to uda. Zrobię to na pewno. Masz moje słowo. W lodówce zostawiam śniadanie. Reszta produktów powinna wystarczyć ci do końca tygodnia.

Do zobaczenia

Lucy".

Boone uśmiechnął się krzywo. A więc wróciła, ale tylko na chwilę. Przyrzekła, że jeszcze się pokaże i odpracuje zaległe dwa tygodnie.

Obiecanki cacanki.

Być może wpadnie parę razy, a potem zniknie na zawsze.

Ponownie wziął kartkę do ręki. Pismo Lucy było proste i równe, zupełnie niepodobne do ozdobnych zawijasów, jakimi zazwyczaj posługiwała się większość kobiet, między innymi Genevieve.

Lucy napisała, że znalazła nowy dom. A więc, oczywiście, do niego nie wróci. Teraz będzie mogła malować sobie ściany na różowo i kłaść na łóżku kwiecistą kapę. Będzie mogła ustawiać doniczki z kwiatami na własnych parapetach. Dom Boone'a nie będzie jej dłużej potrzebny.



Nie będzie jej dłużej potrzebny także sam Boone.

Lucy podjęła kroki, żeby odszukać brata. A kiedy go znajdzie, zajmie się nim. Będą potrzebowali się nawzajem. Boone przestanie się liczyć.

A więc w jego życiu nastanie wreszcie święty spokój. Będzie miał dom dla samego siebie. Taka sytuacja najbardziej mu odpowiadała. Przecież uwielbiał samotność.

- Wszystko w najlepszym porządku - mruknął pod nosem.

I po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, że może byłoby warto kupić sobie psa.

Dom w Arlington spodobał się Lucy. Miał trzy sypialnie, dwie łazienki, kominek w saloniku i wbudowane półki na książki w największej sypialni. Przed domem rósł klon. Z tyłu znajdowały się kwiatowe grządki. Było tam też małe patio, na którym można by robić barbecue, oraz przestronny garaż, zapewniający miejsce na przechowywanie nie tylko samochodu, lecz także innych rzeczy. Stojący na frontowym ganku wiklinowy bujany fotel aż prosił się, by na nim zasiąść z kieliszkiem dobrego wina, gdy znów zrobi się ciepło.

Mack już zaanektował sobie miejsce. Małą plamę słońca, którego promienie przezierają przez gałęzie klonu. Lucy rozbawił serdecznie widok dużego kota z rozkoszą tarzającego się po trawie. Nagle jego uwagę przyciągnęły jakieś odgłosy zza krzaków. Błyskawicznie zerwał się i pognął, by poznać ich przyczynę.

Lucy stała oparta o półciężarówkę i syciła wzrok widokiem nowego domu. Mogła pomalować pokoje na dowolny kolor. Kupić kwiecistą kapę na łóżko. Ustawić meble, a potem dowolnie zmieniać ich układ tyle razy, ile sama tego zapragnie. I nikt, absolutnie nikt nie będzie miał o to do niej pretensji.

Dom wydawał się miejscem wręcz idealnym. Czegoś w nim jednak brakowało.



Boone.

Nagle w umyśle Lucy zmaterializowała się jego twarz. Wiedziała, że ten obraz będzie jej towarzyszył do końca życia.

Dwa tygodnie temu Boone oświadczył, że nigdy się nie zakocha. Od tamtej pory Lucy spędziła w jego domu jeszcze cztery dni. Zawsze jednak przychodziła tylko wtedy, kiedy miał dyżur w remizie. Nie chciała ryzykować spotkania. Oglądanie Boone'a sprawiłoby jej jeszcze większą przykrość.

Tylko jedenaście dni, uprzytomniła sobie. Pozostało tylko jedenaście dni, które będzie musiała spędzić w domu tego człowieka.

Dlaczego myśl ta nie dawała więcej satysfakcji? Dlaczego nie cieszyła perspektywa szybkiego spłacenia długu wdzięczności? Przecież od chwili pożaru liczyło się dla niej tylko to, co uczyni dla Boone'a w rewanżu za uratowanie własnego życia i Macka. Niebawem skończy dla niego pracować. Dlaczego myśl o tym nie poprawiała jej humoru?

Lucy westchnęła ciężko. Odeszła od samochodu i przez podwórko ruszyła w stronę frontowego wejścia. Postanowiła, że wzdłuż chodniczka posadzi nagietki. Bratki skupi wokół latarni. Szkoda, że od wiosny dzieliło ją jeszcze pełne pięć miesięcy. Miałyby już teraz absorbujące zajęcie, które oderwałoby ją od smętnych myśli.

Dom od dawna stał opustoszały. Lucy weszła do środka. Czując kurz w powietrzu, otworzyła okna. Zamierzała wprowadzić się, gdy tylko zgromadzi trochę mebli i załatwi ich dostawę. Miała już dość mieszkania w motelu i kupowanych posiłków.

Nie wszystkie jadała samotnie. Niektóre...

Zatrzymała się w progu sypialni, niezadowolona z siebie. Jak długo jeszcze będzie wracała myślami do Boone'a? Pewnie w nieskończoność. Ludzie jej pokroju zakochiwali się rzadko, lecz na wiele lat. A po rozstaniu najczęściej już nie odzyskiwali psychicznej równowagi.



Westchnęła głęboko. Znow zaczęła robić plany.

W sypialni postawi jasne meble. I na niebiesko pomaluje ściany...

Boone zdążył się przekonać, że Lucy przychodzi tylko wówczas, gdy nie ma go w domu. Już stojąc w progu, wyczuwał, czy była. Podczas jej nieobecności dom wydawał się pusty, cichy i zimny. A kiedy się zjawiała...

A kiedy się zjawiała, wokół siebie roztaczała ciepło.

Za każdym razem gdy zbliżał się do domu, ogarniało go podniecenie. Zastanie Lucy? Zawsze jednak zdołała umknąć przed jego przyjściem. Wróciwszy z nocnego dyżuru, czuł w domu zapach świeżo pieczonego ciasta i na kuchennym stole znajdował gorące bułeczki.

A obok leżała kartka od Lucy.

„Terma już dobrze działa. Musiałam ją tylko trochę podregulować...

Kolacja w lodówce. Zapiekanka. Będzie ci smakowała...

Mack zahaczył pazurem twoje spodnie od munduru i je rozerwał. Przepraszam. Zszyłam tak, że prawie nie widać...

Przyjdę jeszcze tylko jeden raz i będziemy kwita".

- Jeszcze tylko jeden raz - powtórzył Boone, przeczytawszy pewnego zimnego, styczniowego poranka ostatni liścik od Lucy Dolan. Ta kobieta naprawdę dotrzymała słowa. Zrobiła to, do czego się zobowiązała. Mimo wielu przeszkód, głównie ze strony jego samego.

Fakt, że Lucy jednak dotrzymuje danej obietnicy, czego dotychczas w jego życiu nie zrobił nikt ze znanych mu ludzi, do głębi poruszył Boone'a. Teraz dziwił się sam sobie, dlaczego w ogóle w to wątpił.

Jak powinien postąpić? W jaki sposób wynagrodzić Lucy brak zaufania, który okazywał jej na każdym kroku?



Kto stał się czyim dłużnikiem?

Dopiero teraz dotarło do Boone'a, że od dwóch lat do wszystkich kobiet przykładał jednakową miarę. Uważał je za tak samo niegodne zaufania jak Genevieve. Podobnie potraktował Lucy. Jak to się stało, że miał ją za kobietę pokroju byłej narzeczonej, mimo iż pod żadnym względem jej nie przypominała?

Dlaczego?

Odpowiedź nasuwała się sama. Bo był skończonym idiotą. Miał obsesję na punkcie kobiet i sam siebie unieszczęśliwiał.

Sam sobie odebrał możliwość ułożenia szczęśliwego życia. Żył przeszłością i starannie pielęgnował w sercu dawne urazy. Zrobił się zgorzkniały, twardy i niewrażliwy.

Czy rzeczywiście niczego nie odczuwał? Dopiero teraz zaczynało docierać do Boone'a, że nie ochronił się przed jednym. Przed rosnącym uczuciem do Lucy.

Zastanawiał się, co teraz będzie. Liścik położył w koszyku na lodówce, obok poprzednich. Ta kobieta zdażyła ułożyć sobie życie bez niego. Zniknęła na zawsze. Nie miał nawet pojęcia, gdzie jej szukać.

W każdym razie była mu winna jeszcze jeden dzień. Niestety, nie wiedział, kiedy się pojawi. W tym tygodniu czy w następnym? A może za miesiąc?

Był przekonany, że Lucy wróci. Musiał jednak zrobić coś, aby w tym czasie znaleźć się w domu. W przeciwnym razie...

W przeciwnym razie to on wynajmie prywatnego detektywa, by odzyskać utraconą miłość.

Od dwóch tygodni Boone zmienił całkowicie tryb życia. Z kolegą powymieniał się dyżurami w remizie. Niemal co rano bawił się w szpiega. Odjeżdżał samochodem sprzed domu, parkował w pobliżu przy bocznej ulicy i wracał na piechotę.

Pewnego ranka będąc akurat w sypialni i przeglądając ostatni numer „Strażaka”, usłyszał znajomy warkot silnika podjeżdżającej pod dom





półciązarówki. Zamknął czasopismo i zamarł w bezruchu. Słyszał, jak otwierają się frontowe drzwi, a potem w holu rozległo się echo kroków Lucy. Parę sekund później na górze pojawił się Mack. Zauważył Boone'a dopiero wtedy, kiedy wskoczył na łóżko. Zamiauczał głośno i groźnie najeżył sierść.

- Mack? - zawołała z dołu zaniepokojona Lucy. - O co chodzi? Co ci się stało?

W obawie żeby nie opuściła domu, zanim uda mu się z nią porozmawiać, Boone zareagował instynktownie. Rzucił się na kota i przycisnął go do siebie, cudem unikając ostrych pazurów.

- Mam kota! - krzyknął do Lucy. - Jeśli jeszcze zechcesz go zobaczyć, rób, co każę!

Po dłuższej chwili dotarł do niego znużony głos:

- To ty, Boone? O czym mówisz?

Mack usiłował się wyrwać, ale Boone trzymał go mocno. Kot ponownie odsłonił groźne pazury. Kiedy Lucy stanęła na progu sypialni, obaj walczyli z sobą na łóżku.

- Co tu się dzieje? Mack, co ty wyrabiasz? Natychmiast puść Boone'a.

Boone'owi wydawało się, że to on trzyma kota, ale po słowach Lucy uprzytomnił sobie powstałą sytuację. Leżał na plecach, a na jego piersi siedział olbrzymi kocur, wbijając pazury w bluzę od dresu.

Lucy odciągnęła Macka od pana domu i zgoniła go z łóżka.

- Idź stąd - nakazała zwierzęciu i zaraz potem zapytała Boone'a: - Co ty tu robisz?

Podniósł się z łóżka i roztarł bolącą dłoń. Był pewny, że Mack zamierzał odgryźć mu palec.

- Mieszkam - odparł spokojnie.

- Powinieneś być w pracy.

- A ty powinnaś być moją niewolnicą.

- Jeszcze tylko przez jeden dzień.

-Tak.



Lucy skrzyżowała ręce na piersiach.

- O co ci właściwie chodzi?

Boone westchnął ciężko.

- Brakowało mi ciebie - wyznał szczerze. - Gdzie podziewałaś się przez ten czas?

Lucy poczuła nagle wzruszenie. Brakowało mu jej. Ale właściwie czego? Erotycznych igraszek w łóżku? Z nie ukrywanym zachwytem wpatrywała się w Boone'a. Wyglądał jeszcze bardziej atrakcyjnie niż zwykle.

- Byłam zajęta - odparła ogólnikowo.

Skinął głową.

- Wiem. Wprowadzasz się do nowego domu, odnajdujesz brata i stosujesz wszelkie możliwe uniki, żeby mnie nie spotkać.

- Brata jeszcze nie odszukałam. Prywatny detektyw, którego wynajęłam, uprzedził, że to długo potrwa. - Poczzerwieniała na twarzy i dodała:.

- Wcale nie stosuję żadnych uników.

- Naprawdę?

Lucy spuściła wzrok.

- Przychodzisz tylko wtedy, kiedy mam dyżur w remizie. Nie uważasz, że to dziwne?

- Czysty przypadek. Zbieg okoliczności. Mamy widocznie takie rozkłady pracy.

- Jasne.

Raptownie podniosła głowę i spojrzała Boone'owi w oczy.

- Co robisz w domu? - spytała zaczepnym tonem. - Powinieneś być na dyżurze.

- Załatwiłem sobie zastępstwo na dwa tygodnie.

- Dlaczego?

- Bo chciałem cię zobaczyć i nie potrafiłem wymyślić innego sposobu. Wkradasz się tu jak złodziej. I jedyne, co po tobie pozostaje, to zapach gorących bułeczek. Lubię je - dodał szybko - ale wolę ciebie. Tu jest okropnie zimno. Marznę...

- Weź cieplejszą kołdrę. I flanelową piżamę.

Boone uśmiechnął się szerzej.

- Wolę ciebie - powtórzył.

Mimo woli ogarnęło ją podniecenie. Ledwie mu się oparła.

- Boone - odezwała się lekko schrypniętym głosem - już to przera-  
bialiśmy. Nie ma sensu powtarzać.

- Nadal jesteś moją niewolnicą. Przez jeden dzień.

- Ale...

- Przyrzekłaś mi to, Lucy. Obiecałaś...

Leżąc na łóżku wyglądał niesamowicie pociągająco. Z ust Lucy wy-  
rwało się bezwiedne westchnienie.

- Lucy...

- Słucham.

- Nadal jesteś moją niewolnicą? Skinęła głową.

- No więc...

Powzięła decyzję. Podniosła ręce i bez słowa zaczęła rozpinać guziki  
flanelowej koszuli. Obiecała mu. Przyrzekła. Musiała więc zapłacić ce-  
nę, jakiej żądał.

Ze zdumieniem zobaczyła, że Boone nagle pobladł. A kiedy wy-  
szarpnęła koszulę ze spodni, poczerwieniał na twarzy. Błyskawicznie  
uniósł się na łóżku.

- Poczekaj! - wykrzyknął. Zaskoczona, zgarnęła połę rozpiętej ko-  
szuli.

- Mam poczekać? Na co?

Boone wstał i stanął obok Lucy. Drżącymi palcami pozapinał jej gu-  
ziki. Wszystkie. Aż po szyję.

- Ja... To znaczy... Nie to miałem na myśli - wyjąkał z trudem.

- Nie to? - powtórzyła zdumiona. Odchrząknął.

- Tak.

- Przecież...

- W każdym razie jeszcze nie teraz.



- A kiedy?

Boone westchnął, położył ręce na ramionach Lucy i obdarzył ją uśmiechem.

- Jesteś nadal moją niewolnicą?

- Tak.

- Przez jeszcze jeden dzień zamierzasz robić, co każe? Skinęła głową.

- Tak.

Ciągle się uśmiechał, nieco nerwowo. Znow odchrząknął.

- Lucy...

- Słucham.

- Pocałuj mnie...

Lucy zawahała się na chwilę, lecz zaraz potem wspięła na palce i, podobnie jak robiła to przedtem, musnęła wargami usta Boone'a.

- Pocałowałam. Co teraz?

Przyciągnął ją do siebie. Przez dłuższy czas się jej przyglądał.

- Zostań ze mną - powiedział. Serce Lucy zaczęło bić jak szalone.

- Co takiego? - wyszeptała.

- Zostań ze mną - powtórzył prośbę. Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Dlaczego? - spytała.

- Dlaczego? - powtórzył. - Bo razem jest nam dobrze. Oczy Lucy rozszerzyły się ze zdumienia. Nie była jednak pewna, czy z tego, co mówi Boone, powinna być zadowolona, czy nie.

- W jakim sensie? - spytała ostrożnie.

Teraz ona chyba go zaskoczyła.

- Jak w ogóle możesz o to pytać po chwilach, które razem spędziliśmy?

Lucy powoli skinęła głową.

A więc podejrzenia okazały się słuszne. Boone jej pożąda i nic poza



tym. Z góry wyklucza wszelkie uczucie. Pragnie kobiety odmiennej od narzeczonej, ale nie chce i nie potrafi jej pokochać.

- Tak, było nam dobrze - przyznała z niechęcią. - Ale z tobą nie zostanę.

Wyglądał tak, jakby dostał obuchem w głowę.

- Dlaczego?

- Bo... bo tak naprawdę to wcale mnie nie chcesz.

- Jasne, że chcę.

- Nie. - Musiała mu to wyjaśnić. - Nie w taki sposób, jaki mnie odpowiada. - Przełknęła nerwowo ślinę. - Nie tak, jak jest mi to potrzebne. Tysiąc razy powtarzałeś, że nie chcesz mnie tutaj oglądać.

Aż jęknął.

- Lucy, to było przedtem. Zanim oboje...

- Fakt ten niewiele zmienia. Dla mnie właściwie nic... Boone nadal wyglądał jak ogłuszony.

- Nic?

Lucy cofnęła się o parę kroków. Stała na górnym podeście schodów.

- A więc chcesz mnie? To znaczy pożadasz? - spytała drżącym głosem.

- Tak. Oczywiście. Przecież już o tym mówiłem.

Lucy skinęła głową.

- I na tym polega cały problem. Bo ja cię kocham, Boone. Kocham - powtórzyła. - Ty mnie pragniesz, a ja cię kocham. To jest różnica. W naszym związku nie byłoby równowagi. Stałbyś się moim dłużnikiem.

Boone w milczeniu patrzył na Lucy. A jego mina wskazywała, że nie dowierza własnym uszom. Uznał jednak, że Lucy go nie oszukuje i mówi prawdę. Wyznała mu przed chwilę swoje uczucie. Wiele ją to musiało kosztować.

- Już się przekonaliśmy - ciągnęła - że układ, w którym jedno z nas spłaca drugiemu dług wdzięczności, funkcjonuje źle.



Nie mogę zostać tu jeszcze przez jeden dzień, pomyślała zgnębiona Lucy. Nie potrafiłaby tego zrobić. Odczuwałaby zbyt wielki ból. W oczach Boone'a malowały się różne odczucia. Zdumienie, rozczarowanie i niezadowolenie. Wyglądał tak, jakby chciał uciec, i to jak najprędzej. Było to okropne, zważywszy, że znajdował się we własnym domu.

W domu, który do pewnego czasu do niego należał, Lucy poprawiła się szybko. Dopóki ona się nie zjawiała i nie przewróciła wszystkiego do góry nogami.

- Muszę już iść - oznajmiła nagle.

- O, nie. Nic z tego, moja pani - z miejsca zaprotestował Boone. - Tak się nie rozstaniemy.

Lucy zaczęła powoli schodzić po schodach. Było wiele rzeczy, które pragnęła powiedzieć Boone'owi, ale to pogorszyłoby całą sprawę. Jej sprawiłoby przykrość, a on byłby skrepowany jeszcze bardziej. Zupełnie niepotrzebnie powiedziała mu, że go kocha. Trudno. Co się stało, to się nie odstanie.

- Muszę już iść - powtórzyła, schodząc o dwa stopnie niżej. Boone zrobił krok w jej kierunku.

- Nie możesz tego zrobić. Obiecałaś mi jeszcze jeden dzień.

- Zgoda. Resztę długu spłacę później.

- Teraz - oświadczył Boone.

Lucy potrząsnęła głową. Zeszła jeszcze niżej.

- Nie mogę.

- Musisz.

Znalazła się u stóp schodów. Odwróciła się i zobaczyła, że Boone stoi na górnym podejściu.

- Czy ty nic nie rozumiesz? - wybuchnęła wreszcie. – Nie mogę!

Z trudnością powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Odwróciła się i ruszyła szybko ku wyjściu. Zagwizdała na Macka. Niemal równocześnie udało się im wybiec z domu Boone'a.

W pośpiechu wsiadła do półcięzarówki. Wielki kot zajął swoje stałe



miejsce. Włączyła silnik. Błyskawicznie wycofała samochód i wyjechała na drogę.

Dopiero teraz mogła się rozplakać. I to zrobiła. Była tak blisko całkowitego spłacenia długu! Teraz, gdy przyznała się Boone'owi do swych uczuć, nie potrafiłaby wrócić do niego, by przepracować jeszcze jeden dzień. Nie poniży się jeszcze bardziej.

I tak do końca życia Boone Cagney będzie nawiedzał ją w snach.

RS



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego wieczoru Lucy zamierzała iść wcześniej do łóżka. W saloniku swego nowego domu, przebrana w piżamę, usiadła po turecku na podłodze. Mimo że mieszkała tu już od prawie dwóch miesięcy, nie zdecydowała się jeszcze na nowe meble i pozostałe wyposażenie. Za każdym razem gdy wybierała się na zakupy, okazywało się, że to, co najbardziej się jej podoba, jest już w domu Boone'a. Kolorystyka wnętrza, materiały obiciowe i kapy na łóżko, a także sposób urządzenia domu. Nie potrafiła znaleźć niczego, co by się jej podobało, a zarazem nie przypominało siedziby Boone'a. Urządziła ją przecież najpiękniej, jak potrafiła.

Z Maćkiem na kolanach i pluszowym niedźwiadkiem pod pachą oglądała w telewizji kablowej jakiś stary film, równocześnie wraz z kotem pojadając smakowite lody. Obecność zwierzaka sprawiała, że Lucy czuła się bezpiecznie.

- No, to ostatni raz - oświadczyła, kładąc łyżeczką nową porcję lodów na kartonowym wieczku otwartego pojemnika. - Doktor Greene chyba by mnie zamordował, gdyby się dowiedział, że karmię cię lodami.

Mack obliznął się i popatrzył na Lucy tak, jakby chciał ją zapewnić, że to małe przestępstwo, które popełniła, pozostanie ich słodką tajemnicą.

- Wcinamy lody tylko dlatego, żeby się pocieszyć - wyjaśniła Lucy kotu. - Próbujemy zapomnieć o tym, jak wiele znaczył dla nas Boone.





Mack zlizywał łapczywie lody z kartonowego wieczka, co chwila wysuwając różowy język. Po słowach swej pani mruknął coś pod nosem.

- W porządku, w porządku - uspokoiła go Lucy. – Mówię tylko za siebie. Usiłuję zapomnieć o tym, jak wiele znaczył dla mnie - skorygowała poprzednią wypowiedź.

W tym momencie usłyszała głośnie pukanie do frontowych drzwi. Spojrzała na swoją zbyt obszerną, flanelową piżamę, wzruszyła ramionami i odstawiła na podłogę pojemnik z lodami. Zdjęła z kolan Macka, co kocur skwitował pełnym dezaprobaty miauknięciem, zwinął się szybko w kłębek i obok lodów ułożył na podłodze. Lucy wstała i podeszła do drzwi.

Tego gościa się nie spodziewała.

Stał przed nią Boone. Z bukietem różnobarwnych goździków. W drugiej ręce trzymał urodzinowy tort z płonącymi na nim świeczkami.

W żółtawym świetle lampy wiszącej nad gankiem wyglądał jak zjawa. Policzki miał zaróżowione od zimna i zmierzwił wiatrem włosy.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - powiedział miękkim głosem. Uśmiechnął się lekko.

- Dziękuję, ale nie mam dziś urodzin - bezwiednie odparła Lucy, ogromnie zaskoczona wizytą Boone'a.

Nadal stał w progu.

- Mogę wejść? - zapytał.

Bez słowa odsunęła się, wpuszczając gościa, a potem starannie zamknęła drzwi, żeby lodowate powietrze nie dostało się do wnętrza. Nie miała pojęcia, w jaki sposób Boone ją odszukał i po co się zjawił. Na dodatek z kwiatami i tortem. Zwłaszcza po tym, jak opuściła go tamtego popołudnia i po tym, co mu wyznała.

Przyszło jej na myśl, że zamierzał wyegzekwować jeszcze jeden dzień pracy, który była mu winna. Nie spuszczała wzroku z niespodzie-



wanego gościa. W obcisłych dzinsach i bluzie, pochodzącej jeszcze chyba z czasów szkolnych, wyglądał młodo i bardzo atrakcyjnie.

Lucy uprzytomniła sobie własny wygląd. Pogniecioną flanelową piżamę i grube skarpety. Nie była ubrana na taką okazję. Właściwie na jaką? Tego dokładnie nie wiedziała.

Gdy zobaczyła, że Boone się jej przygląda, szybko zamknęła oczy. Kiedy po chwili uchyliła ostrożnie powieki, dojrzała lekki uśmiech błakający się na jego wargach. Chyba wiedział, o czym pomyślała. Zarusmieniła się.

Oparła się o framugę drzwi. Usiłowała opanować wariackie bicie serca. Gdy tylko spostrzegła, że Boone nadal ją obserwuje, powróciły kłopoty z oddychaniem.

- Po co przyszedłeś? - zagadnęła gościa.

Spojrzał przez ramię na włączony telewizor. Rozejrzał się po pokoju.

- Nie masz żadnych mebli? - zapytał, dokonawszy oględzin.

Lucy wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie znalazłam niczego, co by mi się podobało - wyjaśniła.

Boone zatrzymał na niej wzrok.

- Gdzie mogę to położyć? - wskazał gestem tort z płonącymi świeczkami. - Nie chciałbym podpalić ci nowego domu. - Uśmiechnął się lekko i dodał: - Musielibyśmy wzywać straż pożarną.

- Straż pożarna już tu chyba jest - stwierdziła Lucy. Niepokoiła ją obecność Boone'a. Nie rozumiała celu tej wizyty.

- Nie ma - zaprzeczył. - Przynajmniej na razie.

Ciekawość wzięła górę. Lucy podciągnęła poły piżamy i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Po co przyszedłeś? - powtórzyła pytanie. - Skąd się dowiedziałeś, gdzie mieszkam?

- My, strażacy, mamy swoje sposoby. Potrafimy zdobywać różne informacje - oznajmił enigmatycznie.



- A czy wykorzystywanie ich do celów prywatnych jest... etyczne?  
- Jesteśmy zobowiązani chronić obywateli i służyć im pomocą. To nasza praca. I powołanie.

- Jakiej pomocy zamierzasz mi dziś udzielić? - indagowała dalej Lucy.

W odpowiedzi Boone tylko się uśmiechnął. Jeszcze raz spojrzał wymownie na zajęte ręce.

- Co mam zrobić z tortem?

Lucy chwiejnym krokiem podeszła do gościa.

- Zanieś do kuchni. - Gestem wskazała kierunek. Podciągnęła rękaw zbyt obszernej piżamy, który odwinął się przy ruchu ramienia. - Przepraszam za mój strój - dodała. - Nie spodziewałam się nikogo. Czemu zawdzięczam twoją wizytę? - spytała raz jeszcze.

Boone poszedł za nią do kuchni. Tort z palącymi się świeczkami postawił na środku stołu. Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Spojrzał na Lucy.

- Chciałem złożyć ci życzenia - oznajmił.

- Moje urodziny niedawno minęły. Czyżbyś o nich zapomniał?

Boone potarł szczękę.

- Świetnie pamiętałem.

Lucy poczuła nagle, że zaraz się rozplacze. Z trudem opanowała cisnące się do oczu łzy.

- A więc po co kupiłeś tort?

Zobaczyła, że Boone podwija rękaw koszuli. Uprzytomniła sobie, że parę miesięcy temu te same silne ręce wyniosły ją z ognia. Podeszedł blisko. Uśmiechał się ciepło.

- Lucy, wszystkiego najlepszego.

- Ale to nie są moje...

- Są.

- Nie.



- Dla mnie są. Cofnijmy się trochę w czasie. I udawajmy, że dziś twoje święto. Zrób to dla mnie, proszę. Bo mam dla ciebie prezent.

Lucy nigdy nie świętowała swoich urodzin. Z nikim. Chyba że we wczesnym dzieciństwie. W niemowlęcych czasach. W kołysce z braciszkiem bliźniakiem. Ostatnie urodziny obchodziła w towarzystwie Boone'a. Poszła do niego, żeby zrobić mu barbecue na kolację.

Dlatego że miała dług wdzięczności? Chyba nie tylko. Już dłużej nie chciała samotnie spędzać tego dnia. Życie w pojedynkę bardzo ją zmęczyło. Nie chciała samotnie spędzać także następnych dni.

- No więc? Zgadzasz się?

- Na co?

- Świątujemy dziś twoje urodziny.

- Raz w roku w zupełności mi wystarczy. Po co drugi?

- Te urodziny będą szczęśliwe. Przyrzekam.

Roześmiała się nieco nerwowo.

- Jasne. Zdaje się, że bardzo poważnie traktujesz wszelkie obietnice - odezwała się z przekąsem.

- Zasłużyłem na kpiny. Ale daruj mi je. Dziś mamy święto.

- Jasne. Przecież to moje urodziny - mruknęła pod nosem.

Boone wyprostował się i jeszcze raz wysunął rękę w jej stronę z kwiatami. Na jego twarzy pojawił się triumfujący uśmiech. Lucy stała oparta plecami o kuchenny blat, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

- Wypowiedz jakieś życzenie i zdmuchnij świece - poprosił Boone.

Jakieś życzenie? Tylko jedno? Życzeń miała niezliczone mnóstwo. Pragnęła, żeby jej życie wróciło do normy po tym, jak w pożarze straciła wszystko, a później także mężczyznę, który jej nie kochał. Chciała wiedzieć, co dzieje się z bratem, jeśli w ogóle istniał. Mieć rodzinę. Kochać i być kochaną. Pożądać z wzajemnością. Pragnęła zbyt wielu



rzeczy, by móc kiedykolwiek je osiągnąć.

Zdmuchnięcie świeczek na tortcie nic nie da. Nie znosiła urodzin. Dlaczego w ogóle pozwoliła Boone'owi namówić się na tę śmieszłą uroczystość?

- Nie mam ochoty - odparła.

- Dlaczego?

- Bo to bez sensu. Życzenia się nie spełniają. Nigdy. Boone nie spuszczał wzroku z Lucy. Gdy ją poznał, była zupełnie inna niż w tej chwili. Przyjacielska. Wesoła. Silna psychicznie. Teraz miał przed sobą smutną, przegraną kobietę. Co mogło spowodować aż taką przemianę? Czyżby sądziła, że mężczyzna, którego obdarzyła uczuciem, nie kocha jej i nie pożąda?

- Przynajmniej przyjmij ode mnie kwiaty - zaproponował. - Chyba że masz awersję do wszelkich urodzinowych prezentów.

Lucy westchnęła. Z rezygnacją wzięła bukiet do ręki. Smutnym wzrokiem popatrzyła na goździki.

Boone obserwował jej ruchy. Widział, jak się odwraca, wyjmując dzbanek z szafki i napełnia go wodą. Potem starannie układa kwiaty.

- Podejdz, proszę- znów odezwał się Boone. - Pomyśl sobie jakieś życzenie i zdmuchnij świeczki.

Pokręciła głową.

- Wobec tego zrobię to za ciebie - oświadczył.

Uprzytomnił sobie, że zna idealne życzenie, które mógłby pomyśleć w imieniu Lucy. Zamknął oczy, nabrał głęboko powietrza i dmuchnął.

Zgasły wszystkie świeczki.

- Załatwione - uznał. - Twoje życzenie się spełni.

- Nie moje - zaprotestowała Lucy.

Na twarzy Boone'a pojawił się szeroki uśmiech.

- Może więc nasze?

Popatrzyła na niego podejrzliwie.



- To zależy, czego sobie życzyłeś.

Z udawaną nonszalancją dotknął lukru na torcie i oblizał palec.

- Fakt - przyznał. Lucy korciła ciekawość.

- Powiesz wreszcie, o czym pomyślałeś? - spytała. Podeszedł blisko. Bliziotko. Pochylił się nad Lucy i cichym głosem spokojnie oznajmił:

- Jeśli powiem, to życzenie się nie spełni. Spuściła głowę. Nadal stała oparta plecami o blat.

- Co to za różnica? I tak z niego nic nie będzie.

Boone położył dłonie na kuchennym blacie, po obu stronach Lucy, stając tuż przed nią. Oddychała szybko i nierówno. Pod zniszczoną piżamą dostrzegł zarys piersi. Pamiętał, jak bardzo były miękkie. A skóra na szyi...

- Dlaczego niepokoi cię to, o czym pomyślałem, zdmuchując świece-ki?

- Nic mnie nie niepokoi.

- Wyglądasz na zmartwioną.

- Nie jestem zmartwiona.

- Nie wierzę - powiedział łagodnym tonem.

- To bez znaczenia - mruknęła. Boone nachylił się nad Lucy.

- Czyżby?

Nie odpowiedziała.

Przez dłuższą chwilę obserwował smutek malujący się na jej twarzy. Starannie unikała jego spojrzenia. Sądził, że zaraz odepchnie go lub umknie. Kiedy jednak natarł na nią całym ciałem, podniosła wzrok. Spojrzała mu prosto w oczy.

I nagle poczuł, że się zatracą. Pochłoneła go głębia niebieskich oczu. Wiedział, że Lucy go kocha. Był pewny, że miłością prawie tak silną, jak jego własna.

- Lucy... - odezwał się z czułością.



- Słucham.

- Spójrz na mnie.

Powoli, niemal nieśmiało uniosła głowę. Napotkała wzrok Boone'a.

Poczuł gwałtowny przypływ uczucia. Przywarł wargami do jej ust. Teraz już wiedział na pewno, że nie ma odwrotu. Z Lucy emanowały samotność, tęsknota i smutek, odczucia aż za dobrze mu znane. Nagle uprzytomnił sobie, że oboje są do siebie bardzo podobni. Dlatego, a także z wielu innych powodów, tej kobiecie nigdy nie pozwoli odejść.

Pełen czułości pocałunek Boone'a zdezorientował Lucy. W jednej chwili chciała wygonić go z domu i ratować resztki własnej godności, w drugiej zaś pozostać z nim na zawsze.

W ramionach Boone'a pragnęła zapomnieć o smutkach towarzyszących jej życiu i tym wszystkim, co sprawiało, że odczuwała swoją małą wartość.

Przestał całować tak nagle, jak zaczął. Spojrzał Lucy głęboko w oczy. Nie mogła tego znieść. Ujęła go pod brodę i delikatnie przesunęła palcem po dolnej wardze.

Spod półprzymkniętych powiek nadal ją obserwował. Położył dłoń na jej karku. Był to gest hipnotyczny. Lucy zapragnęła nagle poczuć rękę Boone'a w każdym zakątku swojego ciała.

Zabrakło jej słów. Pochyliła głowę i poddała się delikatnej pieścizocie. Po chwili Boone przyciągnął ją do siebie. Tym razem całował nieco mocniej. Szybko jednak odsunął wargi od jej ust i otarł się policzkiem o rozognioną twarz.

Wsunęła palce we włosy Boone'a. Zacisnęła je, gdy znów zaczął cofać głowę. Teraz ona pocałowała. Mocno. Z pasją. Namiętnie.

Wiedziała już, jakie sformułowałyby życzenie, zdmuchując świeceki na urodzinowym torcie. Pragnęła na zawsze pozostać z Boone'em. I chciała, żeby było jej tak dobrze, jak w tej chwili.

Niemożliwe, pomyślała ze smutkiem. To życzenie nigdy się nie spełni. Boone marzy o zupełnie innej kobiecie.



Powoli, niechętnie oderwała wargi od jego ust. Miał zaskoczoną mi-  
nę.

- Co tu właściwie robisz? - zapytała łagodnym tonem. - Przyszedłeś  
wyegzekwować ostatni należny ci dzień?

Z uśmiechem pokręcił głową.

- Przyszedłem dlatego, że to ja jestem twoim dłużnikiem.  
Lucy otworzyła usta, aby zaprotestować, lecz powstrzymała ją dziwny  
wyraz twarzy Boone'a.

- Jesteś mi coś winien? - spytała zaskoczona. Musnęła dłonią jej po-  
liczek.

- Tak. Bo ci nie dowierzałem.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Złożyłaś obietnicę - przypomniał. - I dotrzymałaś danego słowa.  
Nie potrafisz zrozumieć, jak wiele to dla mnie znaczy. A ja ci nie ufa-  
łem. Zupełnie nie wiem, dlaczego. Jestem winien przeprosiny. I nie tyl-  
ko.

- Nie dotrzymałam przyrzeczenia. To ja jestem ci winna jeszcze je-  
den dzień pracy.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Lub jedną noc - dorzucił z uśmiechem na twarzy.

- Nic z tego. Na to nie licz.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Jeśli nawet zostaniesz moją żoną?

- Nie, nawet wte... - urwała nagle. - Spojrzała na Boone'a. - Co po-  
wiedziałaś?

Uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie poprosiłem cię, żebyś została moją żoną.

- Ale... dlaczego?

- Pozwól mi pomyśleć. - Boone uniósł wzrok i popatrzył w sufit.  
Udawał, że się głęboko zastanawia. - Dlatego, że jestem twoim dłużni-





kiem? Nie, chyba nie. A więc dlaczego? - Zamilkł na chwilę. Dopiero teraz spojrzał na Lucy. - Już wiem. Chyba dlatego, że cię kocham.

- Nie możesz - oświadczyła Lucy.
- Nie mogę? - zdziwił się Boone. Teraz on zapytał: - Dlaczego?
- Powiedziałeś, że już nigdy nie obdarzysz nikogo uczuciem. Ze zdziwioną miną popatrzył na Lucy.
- Niemożliwe. Jak mogłem twierdzić coś tak głupiego?
- Mogłeś. I twierdziłeś. Wtedy, kiedy znalazłam twoje zdjęcie. Z narzeczoną.
- Byłą narzeczoną - sprostował.
- Nieważne. Powiedziałeś, że już nigdy...

Boone udał, że wreszcie sobie przypomina.

- Mówiłem o zupełnie czym innym. Przy okazji to ci wyjaśnię. Teraz muszę wiedzieć, czy zamierzasz do końca wywiązać się z obietnicy i oddać mi jeszcze jeden dzień. Dopiero wtedy będę mógł się zrewanżować. Za to, że w ciebie wątpiłem.

Było to bardzo pokrętnie rozumowanie. Lucy uśmiechnęła się do Boone'a i oznajmiła z powagą:

- Twój dług wdzięczności jest całkiem spory. W jaki sposób zamierzasz go spłacić?

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Może na jakiś czas zostanę twoim niewolnikiem? Powiedzmy na lat pięćdziesiąt lub coś w tym rodzaju.

Lucy poczuła ogarniające ją wzruszenie.

- Pięćdziesiąt lat? To szmat czasu.

- A więc wyjdiesz za mnie?

Zagryzła wargi. Teraz ona udawała, że nie może się zdecydować.

- Kochasz mnie? Naprawdę? - Chciała to usłyszeć.

Boone nachylił się i pocałował ją jeszcze raz. Z ogromną czułością. Słowa nie były potrzebne. Lucy wiedziała, że mówił prawdę.



- Kocham cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić - wyszeptał.
- Chyba mogę.
- A więc przejdźmy do interesów.

Skinęła głową.

- Zgoda. Jesteś mi wiele winien za to, że wątpieś w moje słowa. Pocałował ją w szyję.

- Mówiłem ci już, że od tej pory w każdy weekend będziesz moją niewolnicą?

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

- Nie. Musiałeś zapomnieć.

- Zacznijmy od twego długu. Mam u ciebie jeden dzień. Boone przeciągnął językiem u nasady ucha Lucy. Przeszyły ją dreszcze. W tej chwili zgodziłyby się na każdą propozycję...

- Dobrze...

- A więc nakazuję ci wyjść za mnie.

Lucy nie zamierzała protestować. Była to całkiem niezła myśl. Boone zaczął całować jej ramię. Czowała się rozkosznie.

- Kupiłaś już jakieś meble do sypialni?

- Tylko materac - szepnęła.

- Wystarczy. Gdzie to jest?

- Co?

- Sypialnia.

- Tam gdzieś... na górze. Sam znajdziesz...

Lucy zobaczyła, że Boone wcale nie spogląda w stronę drzwi. Utkwił wzrok w kuchennym stole.

- Łóżka to przereklamowane meble - oświadczył z błyskiem w oku.

- O, nie. Nic z tego - zaprotestowała Lucy.

- Nic? - bardzo się zdziwił.

- Nie możemy.

- Nie możemy? - powtórzył jak echo.



- Nie! - wykrzyknęła, śmiejąc się głośno.  
- Mam ci przypomnieć, że jesteś moją niewolnicą?  
- A kiedy sam wreszcie zaczniesz robić, co ja ci każę? Uśmiechnął się lekko.

- Coś mi się zdaje, że w sekundę po tym, jak pastor oznajmi: „Ogłaszam was mężem i żoną”.

Uniosła brwi. Namyslała się przez chwilę.

- Możemy zaproponować własny tekst małżeńskiej przysięgi - oświadczyła. - Na przykład: „Ogłaszam was panią i niewolnikiem”.

Boone nie podjął tematu. Zsunął piżamę z ramion Lucy. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Położył na materacu i nachylił się nad nią.

Pod wpływem pieszczot z wrażenia zamknęła oczy. Ich serca były jak szalone. Lucy leżała szczęśliwa w objęciach mężczyzny, który uratował jej życie. Nie dlatego, że wyniósł na rękach z płonącego budynku, lecz dlatego, że ofiarował miłość, do której od dawna tęskniła i której tak bardzo potrzebowała. Miłość równą tej, którą otrzymywał od niej.

- Kocham cię, Boone - wyszeptała w ciemnościach.

- Kocham cię, Lucy.

Przez chwilę, w pełni zaspokojeni, leżeli w milczeniu.

- Jakie było twoje życzenie, gdy gasiłeś świece? – spytała Lucy.

- Abyś wreszcie miała własną rodzinę - cicho odparł Boone. Lucy przytuliła się do niego.

- Już ją mam.



## EPILOG

- Lucy! On znów to zrobił!

Boone stał na frontowym ganku i wzrokiem pełnym obrzydzenia spoglądał na martwe stworzonko leżące na schodkach przed skrzynką na listy. Nie miał ochoty sprawdzać z bliska, co to właściwie jest. W każdym razie był pewny jednego. Wiedział, kto dopuścił się morderstwa.

Odkąd pobrali się z Lucy, a było to prawie rok temu, i gdy wraz z całym dobytkiem przeprowadził się do jej domu, Mack z największym upodobaniem i regularnością co najmniej raz w tygodniu składał u jego stóp jakieś zamordowane stworzenie. Lucy zapewniała męża, że w ten sposób wielkie kocisko przepraszało go za swoje nieczne wcześniejsze zachowanie. Boone nie dawał się przekonać żonie. Miał na ten temat własne, wyrobione zdanie. Był przeświadczony, że każdy taki haniebnny czyn stanowił ze strony Macka niezbyt subtelną groźbę.

- Lucy! - krzyknął ponownie.

Stała za jego plecami ze szczotką i śmietniczką w ręku i kazała mu się odsunąć. Po chwili nieżywe zwierzątko znalazło się w papierowej torbie. Lucy spojrzała na męża. Wyraz jej twarzy wcale nie podniósł go na duchu.

- Pogadam z Mackiem - oznajmiła. - Ale niczego nie obiecuję. Robi tak dlatego, że cię lubi. A jeśli chcesz znać prawdę, to powiem ci jeszcze jedno. On usiłuje zwrócić na siebie twoją uwagę. To taki rodzaj współzawodnictwa. Między synem a ojcem.



Boone zagryzł wargi.

- Nie jestem jego ojcem - wycedził przez zęby.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Robi to wszystko, bo chce ci się przypodobać. Zależy mu na tobie.

- Jasne. I dlatego ciągle mnie gryzie. A ty uważasz, że to przejaw czułości.

- Tak. Miłości.

- Co najmniej dwa razy pogryzł mnie do krwi.

- Oznacza to, że naprawdę cię lubi.

- Mam na ten temat inne zdanie.

Boone sięgnął do skrzynki listowej. Wyjął z niej korespondencję. To, co zwykle. Rachunki za wodę, energię elektryczną i telefon oraz pakiet ogłoszeń reklamowych. Znalazł także list.

- Czy wynajęłaś jeszcze jednego prywatnego detektywa, żeby odzukał twojego brata? - zapytał żonę, oglądając cienką, białą kopertę.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Czemu pytasz?

- Przyszedł list od niejakiej Roxanne Matheny, prywatnego detektywa, adresowany do ciebie.

Lucy spojrzała na zwrotny adres.

- Z Waszyngtonu? - zdziwiła się. - Nie mam pojęcia, kto to jest.

Otworzyła kopertę i wyjęła złożony arkusz papieru, zapisany na maszynie. Zdumiony Boone spostrzegł, że nagle zbladła jak ściana i zanim zorientował się, co się dzieje, ugięły się pod nią nogi. Usiadła ciężko na schodku ganku.

- Lucy, co się stało? - z niepokojem spytał Boone. Usiadł obok i objął żonę ramieniem.

- O Boże! - jęknęła.

Po jej twarzy potoczyły się łzy. Zamiast jednak wyjaśnić mężowi, o co chodzi, zaczęła ponownie czytać otrzymany list.

- Stało się coś złego?



- Nie, nie - wykrztusiła przez łzy. - Wszystko jest... Och, Boone!

Zarzuciła mężowi ręce na szyję i wdrapała mu się na kolana. Ciałem Lucy wstrząsały łkania. Boone gładził ją po plecach i cierpliwie czekał, aż się uspokoi.

- Co się stało? - ponowił pytanie.

Pociągnęła nosem i wytarła oczy.

- Píše w imieniu mojego brata - wyjaśniła. - On szuka mnie od ponad roku. Przez cały czas mieszkał w Waszyngtonie. Tak blisko, a ja o tym nie wiedziałam! Chce się ze mną spotkać. - Lucy znów zaczęła płakać. - Brat mnie... potrzebuje. Boone, on mnie potrzebuje!

- To oczywiście - z całym spokojem zapewnił ją mąż. - Tak jak tego pragnęłaś, odnalazłaś brata.

- Już mam rodzinę. Ciebie. I Macka. A to... - podniosła list do góry - jest dodatkowa premia.

Przetarła oczy i uśmiechnęła się przez łzy.

- Jestem ciekawa, czy znalazła także mojego drugiego brata.

- Drugiego? - zdziwił się Boone. - Masz jeszcze jakieś rodzeństwo?

- Tak. Oprócz bliźniaka mam starszego brata - wyjaśniła.

- Nic o nim nie mówiłaś.

- Niemożliwe.

- A zresztą to nieważne.

- Nie jestem tego zupełnie pewna, ale jak przez mgłę pamiętam, że było nas troje. Jeśli Roxanne Matheny znalazła mnie, to pewnie potrafi odszukać mojego drugiego brata. Mam rację?

- Nawiażesz z nią kontakt?

- Oczywiście. Bliźniaczemu bratu muszę natychmiast coś oznajmić.

- Co takiego?

- Że zostanie wujkiem.



- Aha. - Gdy nagle dotarł do niego sens wypowiedzianych przez Lucy słów, Boone poderwał się na równe nogi.

- Kim będzie?

Lucy uśmiechnęła się promiennie.

- Wujkiem - powtórzyła.

- To znaczy, że ty będziesz...

- Mamą - dokończyła Lucy.

- A ja będę...

- Tak. Już jesteś.

Przez chwilę, jak otumaniony, Boone siedział bez ruchu, a potem porwał Lucy w ramiona.

- Chłopiec?

- Może dziewczynka. Na razie nie wiemy.

- Nie szkodzi - oznajmił Boone. - Jedno jest ważne. To dziecko będzie miało rodziców, którzy mają zwyczaj dotrzymywać danego słowa, i zaakceptują je bez zastrzeżeń.

- Czy to obietnica?

- Tak.

Długo w noc przytuleni do siebie siedzieli na stopniach ganku, a porwy chłodnego wiatru rozwiewały im włosy.

